Anatomia władzy i powrót geopolityki w świecie zamętu: analiza myśli Johna Andrewsa

AUTOR

Fundacja Dobre Państwo

STRESZCZENIE / ABSTRACT

Tekst analizuje koncepcję Johna Andrewsa dotyczącą powrotu realizmu politycznego w obliczu współczesnego kryzysu ładu międzynarodowego. Autor wskazuje, że mimo cyfryzacji i globalizacji, kluczowe znaczenie odzyskały materialne aspekty władzy: terytorium, zasoby i potencjał militarny. Geopolityka jest tu rozumiana jako sztuka dostrzeżenia fizycznej rzeczywistości, która determinuje bezpieczeństwo państw. Istotnym elementem analizy jest paradoks współzależności – globalne sieci powiązań, choć efektywne ekonomicznie, stają się strukturami podatności i narzędziami presji w rękach silniejszych graczy. Odwołując się do Tukidydesa i dialogu melijskiego, tekst podkreśla prymat interesów egzystencjalnych nad normami prawnymi w sytuacjach krytycznych, gdzie ostateczna decyzja polityczna zależy od realnej zdolności do jej egzekwowania.

The text analyzes John Andrews' concept regarding the return of political realism in the face of the current crisis of international order. The author indicates that despite digitalization and globalization, the material aspects of power—territory, resources, and military potential—have regained key importance. Geopolitics is understood here as the art of perceiving the physical reality that determines state security. A significant element of the analysis is the paradox of interdependence: global networks of connection, while economically efficient, become structures of vulnerability and tools of pressure in the hands of stronger players. Referring to Thucydides and the Melian Dialogue, the text emphasizes the primacy of existential interests over legal norms in critical situations, where the final political decision depends on the actual ability to enforce it.

Artykuł stanowi głęboką analizę współczesnego przełomu geopolitycznego, w którym świat odchodzi od liberalnego ładu opartego na instytucjach i prawie na rzecz brutalnego realizmu. Autor, opierając się na diagnozie Johna Andrewsa, stawia tezę, że w dobie cyfryzacji i globalizacji następuje paradoksalny powrót „materialnej fizyczności" władzy – terytorium, surowców i strategicznych wąskich gardeł (choke points), które ponownie determinują pozycję mocarstw. Tekst analizuje napięcie między normatywnym obowiązkiem prawa a jego realną egzekwowalnością, wskazując, że prawo międzynarodowe staje się często jedynie instrumentem w rękach silniejszych podmiotów. Równie istotna jest refleksja nad cyklami życia imperiów i erozją demokratycznej spójności (asabijja), gdzie sukces materialny prowadzi do utraty zdolności do zbiorowego działania. Całość rzuca wyzwanie złudzeniom o „końcu historii", sugerując, że współczesna polityka jest polem starcia między dążeniem do efektywności autorytarnej a kosztowną, lecz niezbędną kulturą demokratycznego korygowania błędów.

SŁOWA KLUCZOWE

anatomia władzy | powrót geopolityki | John Andrews | realizm polityczny | struktura podatności | hard power | soft power | cyber power | dialog melijski | legitymizacja wynikowa | regres demokratyczny | asymetria potęgi | konflikt struktur | egzekwowalność prawa

Powrót realizmu i materialnej fizyczności władzy

Świat w zamęcie. Geopolityczna anatomia siły, imperiów i przyszłego porządku. Świat po utracie niewinności. Geopolityka jako powrót rzeczywistości. Istnieją epoki, które chcą uchodzić za kres historii, choć najczęściej okazują się jedynie krótką przerwą między jej kolejnymi gwałtownymi odsłonami.

Tak należy odczytywać geopolityczną diagnozę Johna Andrewsa. „Zamęt" nie oznacza w niej przypadkowego nagromadzenia kryzysów, wojen, migracji czy napięć ekonomicznych i kulturowych, lecz stan przejścia między dwoma sposobami organizowania ładu międzynarodowego. Pierwszy z nich wyrósł z doświadczeń dwóch wojen światowych; próbował on

podporządkować rywalizację państw regułom instytucjonalnym, prawu międzynarodowemu, handlowi oraz zasadzie wielostronnego uzgadniania interesów. Drugi, coraz wyraźniej widoczny, przywraca znaczenie terytorium, zasobów, potencjału militarnego, demografii, technologii i kultury, a także zdolności do narzucania innym własnej interpretacji rzeczywistości. Jeśli XX wiek zrodził nadzieję, że politykę można oddzielić od brutalnej fizyczności władzy, XXI wiek systematycznie przypomina, że państwa nadal istnieją na mapach, ludzie wciąż potrzebują energii i bezpieczeństwa, a decyzja polityczna staje się realna dopiero wtedy, gdy ktoś posiada środki zdolne ją wykonać. W perspektywie Andrewsa geopolityka jest zatem sztuką ponownego dostrzeżenia tego, co w epoce cyfrowej łatwo uznać za anachronizm.

Sam przedrostek „geo" odsyła do ziemi, przestrzeni i materialnego położenia. To nie jest szczegół semantyczny. Przypomina on, że żaden system finansowy nie eliminuje cieśnin, przez które muszą przepływać tankowce, żadna konferencja online nie zmienia położenia wysp, żaden algorytm nie skraca łańcucha górskiego, a żadna deklaracja polityczna nie przenosi złóż surowców z jednego kontynentu na drugi. Globalizacja pozwoliła nam poruszać się szybciej i komunikować natychmiast, lecz paradoksalnie stworzyła iluzję, że granice i odległość przestały mieć znaczenie. Geopolityka wraca wtedy, gdy iluzja zderza się z mapą. Andrews upomina się o realizm przestrzeni w epoce, która zbyt łatwo uwierzyła w metafizykę sieci.

Dla cyfrowej świadomości planeta zdaje się jednoczesna: wiadomość dociera z Warszawy do Tokio niemal natychmiast, kapitał zmienia jurysdykcję jednym poleceniem, a obraz wojny pojawia się na ekranie telefonu chwilę po jej wybuchu. Jednak towary, energia i armie nie przemieszczają się z prędkością informacji. Statek nadal musi przepłynąć przez konkretną cieśninę, żołnierz musi stanąć na określonym terytorium, a infrastruktura energetyczna musi zostać fizycznie zbudowana. Bezpieczeństwo państwa pozostaje zależne od tego, kto kontroluje drogi, porty, wybrzeża, przestrzeń powietrzną, satelity i kable na dnie oceanów. Świat cyfrowy nie zlikwidował geopolityki – dał jej jedynie nowe instrumenty.

Współzależność jako struktura podatności i narzędzie władzy

W tym miejscu pojawia się pierwszy paradoks współczesności. Im bardziej świat staje się wzajemnie zależny, tym więcej powstaje punktów, w których można go zakłócić. Współzależność nie jest bowiem wyłącznie strukturą pokoju, lecz także strukturą podatności. Globalny łańcuch dostaw zwiększa efektywność gospodarczą, ale jednocześnie pozwala uczynić z jednego portu, półprzewodnika, rurociągu czy systemu płatniczego instrument presji. To, co liberalna teoria

globalizacji interpretowała jako gęstniejącą sieć współpracy, analiza realistyczna odczytuje jako skomplikowaną sieć zależności, w której każdy węzeł może stać się narzędziem władzy. Nie trzeba już okupować terytorium przeciwnika, by ograniczyć jego swobodę; czasem wystarczy kontrolować technologię, walutę rozliczeniową, standard komunikacyjny, dostęp do surowca lub szlak handlowy.

Geopolityka Andrewsa wyrasta z tej podwójności. Z jednej strony uznaje osiągnięcia współzależnego świata: instytucje, handel, normy, dyplomację i miękkie mechanizmy wpływu. Z drugiej odmawia przyjęcia założenia, że same te mechanizmy unieważniły klasyczne reguły rywalizacji o władzę. Podstawowa różnica między idealizmem a realizmem politycznym nie polega bowiem na tym, że pierwszy wierzy w dobro, a drugi w zło. Dotyczy ona odpowiedzi na pytanie, co dzieje się w chwili konfliktu pomiędzy zasadą a interesem egzystencjalnym państwa. Czy reguła pozostaje wiążąca również wtedy, gdy jej przestrzeganie może oznaczać utratę bezpieczeństwa, terytorium, strategicznego zasobu albo pozycji mocarstwowej? Realizm rozpoczyna swoją analizę właśnie w tym niewygodnym miejscu, w którym język prawa spotyka się z rachunkiem siły.

Dlatego jednym z intelektualnych patronów opowieści Andrewsa pozostaje Tukidydes. Maksyma przypisywana ateńskim wysłannikom w dialogu melijskim — wedle której silni czynią to, na co pozwala im ich potęga, a słabi znoszą to, czego nie potrafią powstrzymać — nie jest jedynie cynicznym sloganem z odległej starożytności. Stanowi kondensację zasadniczego problemu stosunków międzynarodowych: prawa nie można utożsamiać z możliwością jego egzekwowania. Państwo może mieć rację prawną i jednocześnie przegrać politycznie. Może zdobyć poparcie moralne, tracąc terytorium. Może powoływać się na normę, której przeciwnik nie zamierza respektować. Właśnie ta luka pomiędzy obowiązywaniem prawa a zdolnością wymuszenia jego przestrzegania jest jednym z najważniejszych miejsc narodzin geopolityki. Błędem byłoby jednak wyprowadzić stąd prosty wniosek, że prawo międzynarodowe jest fikcją, a politykę należy sprowadzić do przemocy. Taka interpretacja byłaby intelektualnie wygodna, lecz zbyt prymitywna.

Prawo ogranicza koszty konfliktu, tworzy przewidywalność, pozwala budować koalicje, legitymizuje działania i staje się źródłem miękkiej siły. Państwo naruszające normy nie działa w próżni; musi liczyć się z reakcją partnerów, rynków, własnych obywateli oraz instytucji. Problem pojawia się dopiero wtedy, gdy moralny lub prawny nakaz nie dysponuje odpowiadającą mu strukturą sprawczości. Andrews nie tyle ogłasza śmierć prawa, ile każe zadać pytanie, którego liberalny optymizm długo unikał: kto i za pomocą jakich instrumentów sprawi, że norma stanie się rzeczywistością? To właśnie tutaj realizm Andrewsa spotyka się z tradycją Machiavellego, Hobbesa i późniejszej Realpolitik. Polityka nie jest w niej domeną ludzi pozbawionych zasad, lecz przestrzenią konfliktu między zasadami, interesami a koniecznością przetrwania. Państwo może

dążyć do dobra, lecz nie posiada luksusu ignorowania przeciwnika, który definiuje dobro inaczej. Przywódca może preferować pokój, ale jego preferencja nie wystarczy, jeśli druga strona uznaje wojnę za korzystniejszą.

Władza jako zdolność kształtowania zachowań innych

Moralność jednostki zakłada możliwość poniesienia osobistego kosztu za własne przekonania. Moralność państwa jest znacznie bardziej złożona, gdyż decyzje podejmuje ono w imieniu milionów ludzi, którzy niekoniecznie chcą stać się ofiarami etycznych konsekwencji wyborów swoich elit. Stąd bierze się kissingerowska intuicja, że państwo żądające moralnej doskonałości od swojej polityki zagranicznej może ostatecznie utracić zarówno tę doskonałość, jak i bezpieczeństwo. Teza ta drażni, ponieważ podważa wygodny podział świata na czyste kategorie dobra i zła, lecz właśnie dlatego jest analitycznie wartościowa. Państwa demokratyczne współpracowały z dyktaturami, reżimy autorytarne zawierały pragmatyczne kompromisy z ideologicznymi przeciwnikami, wrogowie negocjowali w trakcie konfliktów, a sojusze często wynikały nie ze wspólnoty wartości, lecz ze wspólnoty zagrożenia.

Nie oznacza to, że wartości są nieistotne. Oznacza jedynie, że system międzynarodowy nie jest wspólnotą polityczną analogiczną do państwa, która dysponowałaby jednym aparatem egzekwowania norm. W świecie suwerennych podmiotów porządek pozostaje rezultatem nieustannego napięcia między zgodą, odstraszaniem, interesem, reputacją a możliwością użycia przymusu. Terminem otwierającym dalszą analizę powinno być zatem nie „prawo”, lecz „władza”. W ujęciu geopolitycznym władza nie sprowadza się wyłącznie do liczby czołgów, choć możliwość użycia przemocy pozostaje jej najbardziej brutalnym fundamentem. Jest ona zdolnością wywołania zachowania, które nie nastąpiłoby bez naszego wpływu. Może przybierać postać przymusu militarnego, sankcji ekonomicznych, dominacji technologicznej, atrakcyjności kulturowej, kontroli informacji, przewagi demograficznej, wpływów instytucjonalnych lub zdolności do definiowania języka, którym inni opisują świat. Państwo potężne nie tylko zmusza innych do działania; potrafi sprawić, że jego interes zaczyna być postrzegany jako interes wspólny, jego standard jako uniwersalny, a wizja porządku jako oczywista architektura normalności. Tu właśnie ujawnia się znaczenie rozróżnienia pomiędzy hard power, soft power i cyber power. Władza wyrastająca z "lufy karabinu" pozostaje realna, lecz współczesne mocarstwo, które potrafiłoby jedynie niszczyć, byłoby mocarstwem kosztownym i nieefektywnym.

Znacznie skuteczniejsza jest potęga zdolna łączyć odstraszanie z atrakcyjnością, technologię z kulturą, pieniądz z narracją, armię z uniwersytetem, a satelitę z platformą cyfrową. Andrews

słusznie przesuwa więc pytanie z prostego „kto ma najwięcej broni?” ku znacznie trudniejszemu: „kto posiada największą zdolność kształtowania zachowań innych?”. W epoce sieci państwo może przegrać bez formalnego wypowiedzenia wojny i zwyciężyć bez zajęcia stolicy przeciwnika.

Koniec złudzeń o końcu historii i powrót logiki siły

Z tej perspektywy historia po zimnej wojnie jawi się jako okres szczególny. Upadek Związku Radzieckiego utwierdził część zachodnich elit w przekonaniu, że zwyciężył nie tylko jeden blok polityczny, ale sam model liberalnej demokracji rynkowej. Historia miała nie tyle zakończyć się dosłownie, co utracić konkurencyjne kierunki rozwoju. Państwa mogły kroczyć tą drogą szybciej lub wolniej, lecz trajektoria wydawała się wspólna: handel miał sprzyjać liberalizacji, wzrost gospodarczy wzmacniać klasę średnią, która z kolei domagałaby się praw politycznych, a globalizacja stopniowo rozpuszczać nacjonalizmy. W tej wizji geografia przestawała być losem, a granice miały stać się raczej administracyjne niż egzystencjalne.

Współczesny świat podważył niemal każde z tych założeń. Handel nie wyeliminował strategicznej rywalizacji, a rozwój gospodarczy nie zawsze prowadzi do liberalizacji politycznej. Technologia nie unieważniła nacjonalizmu – wręcz przeciwnie, dała mu nowe kanały mobilizacji. Globalna komunikacja zamiast jednej wspólnoty interpretacyjnej przyspieszyła fragmentację na konkurujące systemy informacji. Państwa nie przestały myśleć kategoriami suwerenności, bezpieczeństwa, terytorium i prestiżu; wręcz przeciwnie, im bardziej globalny stawał się system gospodarczy, tym bardziej strategiczne okazywało się kontrolowanie jego kluczowych ogniw.

Nie oznacza to jednak powrotu do XIX wieku. Historia nie cofa się mechanicznie – powraca raczej logika, która adaptuje nowe narzędzia. Dawniej mocarstwo kontrolowało port; dziś może kontrolować system operacyjny, infrastrukturę chmurową, standard telekomunikacyjny, sztuczną inteligencję lub dostęp do zaawansowanych półprzewodników. Przecięcie szlaku handlowego nie wymaga już tylko floty; można ją połączyć z sankcją finansową, cyberatakiem i kampanią informacyjną. Propaganda, która kiedyś potrzebowała radia i drukarni, dziś wykorzystuje algorytmy, by dostarczać odmienne wersje rzeczywistości milionom ludzi jednocześnie, dopasowując przekaz do ich lęków i uprzedzeń. Geopolityka nie została wyparta przez cyfryzację – została przez nią rozszerzona. W ten sposób „zamęt” staje się kategorią głębszą niż zwykły chaos. Chaos to brak struktury; zamęt Andrewsa jest raczej konfliktem struktur.

Stary ład nadal trwa: funkcjonują organizacje międzynarodowe, obowiązują traktaty, państwa handlują i inwestują, korzystając ze wspólnych standardów. Jednocześnie narasta logika konkurencyjna, w której te same instrumenty stają się narzędziami presji. Handel może

integrować, ale może też uzależniać. Technologia może łączyć lub kontrolować. Prawo może stabilizować albo służyć legitymizowaniu interesu, a instytucja rozwiązywać konflikt bądź ujawniać nierównowagę władzy między jej członkami. Ta ambiwalencja jest istotą współczesnej geopolityki. Dlatego nie należy pytać, czy żyjemy jeszcze w świecie reguł, czy już w świecie siły. Żyjemy w świecie, w którym oba porządki nakładają się na siebie i nieustannie próbują określić wzajemne granice. Siła potrzebuje legitymizacji, gdyż czysty przymus jest kosztowny. Prawo potrzebuje siły, ponieważ norma pozbawiona mechanizmu egzekwowania staje się jedynie apelem. Soft power potrzebuje wiarygodności, hard power zasobów, a cyber power infrastruktury – i każda z tych form przewagi zależy od społeczeństwa zdolnego ją finansować, rozwijać technologicznie i politycznie legitymizować.

Właśnie tutaj rozpoczyna się właściwa anatomia świata Andrewsa. Nie od pytania, kto ma rację, lecz kto może działać; nie od deklaracji uniwersalnych zasad, lecz od sprawdzenia, jakie instytucje potrafią je wykonać; nie od przekonania, że mapa została przezwyciężona, lecz od ponownego odczytania jej ograniczeń. Brutalność tego spojrzenia nie powinna być mylona z brutalnością rekomendacji. Realizm jest przede wszystkim metodą trzeźwienia. Odbiera polityce luksus oceniania rzeczywistości według tego, jaka powinna być, zanim zrozumiemy, jaka rzeczywiście jest. Najbardziej prowokacyjny sens tego podejścia można zawrzeć w jednym odwróceniu: cywilizacja nie zaczyna się tam, gdzie znika siła, lecz tam, gdzie udaje się ją podporządkować regułom. Problem współczesnego systemu międzynarodowego polega na tym, że reguły powstałe w konkretnej konfiguracji potęgi próbują przetrwać zmianę tej konfiguracji. Jeśli władza przesuwa się między państwami, kontynentami i technologiami, presja na przebudowę instytucji musi rosnąć. Stąd droga prowadzi bezpośrednio do pytania: co dzieje się z prawem międzynarodowym, gdy największe podmioty systemu zaczynają traktować je nie jako granicę działania, lecz jako jeden z instrumentów polityki?

"Silni robią to, co mogą". Prymat siły i granice prawa

Jeżeli geopolityka rozpoczyna się w chwili, w której mapa odzyskuje znaczenie, realizm polityczny zaczyna się tam, gdzie deklarowana równość spotyka się z faktyczną nierównością zdolności działania. Jedno z najbardziej bezlitosnych zdań w historii refleksji nad polityką zostało zapisane przez Tukidydesa w opisie rozmowy Ateńczyków z mieszkańcami Melos. Sens tej maksymy Andrews uczynił jednym z leitmotivów swojej analizy: silni czynią to, na co pozwala im siła, podczas gdy słabi ponoszą konsekwencje tego, czego nie są w stanie powstrzymać.

Prawo międzynarodowe jako kompromis między normą a siłą

Nie jest to elegancka maksyma dyplomatyczna, lecz brutalnym testem odporności wszelkich teorii porządku międzynarodowego. Każe bowiem zapytać, co pozostaje z zasady w chwili, gdy podmiot wystarczająco potężny uznaje, że jej naruszenie opłaca się bardziej niż przestrzeganie.

Dialog melijski jest tu kluczowy, ponieważ nie opisuje świata pozbawionego norm. Przeciwnie – Melijczycy argumentują w języku sprawiedliwości, rozsądku i wspólnego interesu, licząc na przyszłą wzajemność. Ateńczycy odpowiadają zaś językiem przewagi, konieczności i imperialnego interesu. Konflikt ten nie przebiega więc między cywilizacją a chaosem, lecz między dwiema konkurencyjnymi logikami politycznymi.

Pierwsza zakłada, że istnieją zasady zdolne ograniczyć nawet najsilniejszych. Druga twierdzi, że granicą działania mocarstwa nie jest norma sama w sobie, lecz koszt jej przekroczenia. To rozróżnienie powraca po dwóch i pół tysiąca lat w każdym sporze o sankcje, odstraszanie, gwarancje bezpieczeństwa czy skuteczność prawa międzynarodowego. Współczesny porządek prawny wyrósł właśnie z próby przezwyciężenia tej starożytnej asymetrii.

Karta Narodów Zjednoczonych ustanawia zasadę suwerennej równości wszystkich członków, zakazując groźby lub użycia siły przeciwko integralności terytorialnej i niezależności politycznej państw. Jednocześnie konstrukcja ONZ zachowuje uprzywilejowaną pozycję pięciu stałych członków Rady Bezpieczeństwa. System przyznaje im szczególną rolę w dbaniu o pokój i bezpieczeństwo, dając faktyczną możliwość zablokowania decyzji merytorycznej poprzez weto. W obrębie jednej instytucji spotykają się zatem dwie prawdy: prawna równość państw oraz polityczne uznanie szczególnej pozycji mocarstw.

Nie jest to przypadkowa wada konstrukcyjna, lecz skamielina politycznego kompromisu, na którym zbudowano system. Porządek powojenny mógł powstać tylko wtedy, gdy zwycięskie mocarstwa zaakceptowały instytucję, której nie mogłyby łatwo użyć przeciwko sobie nawzajem. Prawo weta jest zatem czymś więcej niż przywilejem – jest instytucjonalnym świadectwem rozpoznania faktu, że normatywny porządek nie utrzyma się przeciwko wszystkim najpotężniejszym uczestnikom systemu jednocześnie. Organizacja mająca chronić świat przed dyktatem siły została wyposażona w mechanizm uwzględniający realny rozkład potęgi. Można to uznać za hipokryzję, albo za realizm konstruktorów ładu.

W obu przypadkach pozostaje ten sam paradoks: formalnie każdy członek społeczności międzynarodowej jest suwerenny, lecz nie każdy posiada równą zdolność wpływania na reguły, ich interpretację i sposób egzekwowania. To właśnie dlatego określenie „ład oparty na zasadach" wymaga większej precyzji, niż sugeruje jego retoryczna prostota. Zasady nigdy nie funkcjonują w politycznej próżni; powstają w określonym układzie sił, są interpretowane przez konkretne instytucje i egzekwowane przez podmioty dysponujące materialnymi zasobami.

Powojenny system nie był wyjątkiem. Jego architektura odzwierciedlała rozstrzygnięcia II wojny światowej: dominację zwycięzców, wzrost potęgi amerykańskiej, doświadczenie europejskiej katastrofy oraz lęk przed kolejną wojną totalną. Fakt, że reguły mają historyczną genezę, nie oznacza jednak, że są fałszywe lub bezwartościowe. Oznacza jedynie, że nie wolno mylić uniwersalistycznego języka normy z ukształtowaną strukturą władzy, która umożliwiła tej normie funkcjonowanie.

W tym miejscu realistyczna diagnoza może prowadzić do przesady. Skoro silni łamią reguły, można by uznać prawo międzynarodowe za dekorację przykrywającą politykę mocarstw. Byłby to jednak wniosek równie naiwny, co przekonanie, że samo istnienie traktatu eliminuje problem przemocy.

Różnica między obowiązywaniem a egzekwowalnością prawa

Normy wpływają na zachowanie państw, ponieważ zmieniają rachunek kosztów. Naruszenie prawa może utrudnić zawieranie sojuszy, doprowadzić do izolacji dyplomatycznej, uruchomić sankcje czy ograniczyć dostęp do kapitału. Pogarsza reputację i dostarcza przeciwnikom języka legitymizującego reakcję zbiorową. Prawo nie potrzebuje jednego światowego policjanta, aby być politycznie istotne, jednak jego skuteczność jest nierówna – tak jak nierówny pozostaje potencjał podmiotów zdolnych przeciwstawić się jego naruszeniu. Właśnie tę różnicę między obowiązywaniem a egzekwowalnością należy uznać za jedną z podstawowych kategorii anatomii władzy.

Norma odpowiada na pytanie, co wolno. Władza zaś na to, co można zrobić. Polityka międzynarodowa zaczyna się w przestrzeni pomiędzy tymi pytaniami. Państwo może być formalnie zobowiązane do określonego zachowania, lecz praktyczna skuteczność tego zobowiązania zależy od tego, czy jego naruszenie wywoła wystarczająco dotkliwe konsekwencje. Im większa asymetria potęgi między sprawcą a podmiotem mającym go powstrzymać, tym większe ryzyko, że między normą i rzeczywistością powstanie luka. Przykład Międzynarodowego Trybunału Karnego dobitnie

ukazuje tę strukturę. MTK, jako pierwszy stały międzynarodowy sąd karny utworzony na podstawie Statutu Rzymskiego, posiada jurysdykcję nad najpoważniejszymi zbrodniami określonymi w tym traktacie. Jednocześnie jego uniwersalność jest niepełna: według Zgromadzenia Państw-Stron do systemu należy obecnie 125 państw. Oznacza to, że globalna idea odpowiedzialności karnej współistnieje z ograniczeniami wynikającymi z zakresu jurysdykcji, poziomu współpracy państw oraz politycznej akceptacji Trybunału. Co więcej, konflikt może dotyczyć nie tylko konkretnego orzeczenia, ale samej instytucji mającej stosować normę.

W lutym 2025 roku prezydent Stanów Zjednoczonych Donald Trump podpisał rozporządzenie wykonawcze przewidujące sankcje wobec MTK w związku z działaniami Trybunału dotyczącymi obywateli USA i ich sojuszników. Bez względu na ocenę zasadności tych argumentów, przypadek ten jest modelową ilustracją problemu Andrewsa: mocarstwo może nie ograniczać się do kwestionowania interpretacji prawa, lecz użyć własnej potęgi gospodarczej i administracyjnej wobec organu, który rości sobie prawo do wykonywania ponadnarodowej jurysdykcji. Nie oznacza to jednak, że instytucje są zbędne. Przeciwnie – właśnie reakcja potężnego państwa świadczy o ich znaczeniu. Gdyby orzeczenia czy nakazy międzynarodowych organów były politycznie obojętne, mocarstwa nie ponosiłyby kosztów ich podważania. Konflikt ujawnia bardziej złożoną prawdę: współczesna władza nie polega już wyłącznie na możliwości użycia wojska. Polega także na zdolności decydowania o tym, które instytucje uznaje się za legitymizowane, czyje normy są uniwersalne i który sąd jest bezstronny, a który stanowi narzędzie przeciwnika. Spór o prawo jest tym samym również sporem o władzę definiowania prawa.

W takim ujęciu powraca maksyma Mao Zedonga, że władza polityczna wyrasta z lufy karabinu. Andrews przywołuje ją nie dlatego, że każda forma władzy ma charakter militarny, lecz by wskazać, iż w sytuacji krańcowej możliwość użycia przemocy pozostaje ostatnią gwarancją suwerenności. Państwo nie istnieje tylko dlatego, że posiada flagę, hymn i miejsce przy stole konferencyjnym. Istnieje jako podmiot polityczny również dlatego, że dysponuje aparatem zdolnym kontrolować terytorium, zabezpieczać granice i przeciwstawić się przymusowi innych. Bez tego suwerenność może zachować status prawny, lecz jej rzeczywista treść staje się zależna od cudzej ochrony.

Wiarygodność siły jako fundament odstraszania

Najbardziej radykalnym przejawem tej logiki jest odstraszanie nuklearne. Broń jądrowa stworzyła paradoksalny system, w którym zdolność do niewyobrażalnego zniszczenia ma zapobiegać samemu użyciu tej siły. Nie traktujemy jej zatem jako instrumentu zwyczajnego pola walki, lecz jako narzędzie zmiany rachunku ryzyka przeciwnika. Państwo dysponujące wiarygodnym potencjałem

drugiego uderzenia może sprawić, że zwycięstwo agresora przestanie być racjonalnie wyobrażalne. W tej perspektywie potęga osiąga swój osobliwy kres: jest najskuteczniejsza wtedy, gdy nie musi zostać użyta.

W książce Andrewsa szczególną rolę odgrywa przypadek Ukrainy i decyzja o rezygnacji z arsenału jądrowego odziedziczonego po rozpadzie Związku Radzieckiego. Autor wykorzystuje ten przykład, by postawić kontrfaktyczne pytanie o znaczenie odstraszania: czy późniejsza agresja byłaby równie prawdopodobna, gdyby Ukraina zachowała własny wiarygodny potencjał nuklearny? Sama konstrukcja tego pytania ma większe znaczenie niż możliwość udzielenia na nie jednoznacznej odpowiedzi.

Kontrfakty historyczne są niedowodliwe, a sytuacja ukraińskiego arsenału obejmowała skomplikowane kwestie kontroli technicznej, dowodzenia, kosztów utrzymania oraz międzynarodowego otoczenia politycznego. Niemniej sens eksperymentu myślowego Andrewsa pozostaje jasny: gwarancja bezpieczeństwa i zdolność samodzielnego zadania agresorowi niedopuszczalnych strat nie są geopolitycznie tym samym. Stąd bierze się jedno z najważniejszych rozróżnień realizmu: pomiędzy bezpieczeństwem deklarowanym a bezpieczeństwem zdolnym do samowykonania. Sojusz, memorandum, rezolucja czy traktat mają znaczenie tylko w takim stopniu, w jakim za ich językiem stoi wiarygodna gotowość działania. Odstraszanie nie wymaga pewności użycia siły; wymaga przekonania przeciwnika, że jej użycie jest wystarczająco prawdopodobne. Władza działa więc również poprzez wyobrażenia.

Czołg, który nigdy nie opuści koszar, może wpływać na decyzje przeciwnika, o ile ten wierzy, że w określonych warunkach ruszyć może. Rakieta, której nikt nie zamierza wystrzelić, pozostaje instrumentem politycznym właśnie dlatego, że druga strona nie może całkowicie wykluczyć jej użycia. Realizm strategiczny nie sprowadza się zatem do prostego liczenia zasobów. Siła musi być nie tylko posiadana, lecz także wiarygodna, dostępna i politycznie możliwa do wykorzystania. Państwo może dysponować ogromną armią, a jednocześnie nie posiadać społecznej gotowości do poniesienia kosztów wojny. Może władać zaawansowaną technologią, pozostając jednocześnie uzależnionym od zagranicznych komponentów.

Siła materialna nie gwarantuje zwycięstwa

Państwo może dysponować bronią jądrową, a jednak być ograniczane świadomością wzajemnego gwarantowanego zniszczenia. Władza zawsze jest relacyjna. Nie istnieje w próżni, lecz wobec konkretnego przeciwnika, na określonym teatrze działań i w danym momencie historycznym. To wyjaśnia, dlaczego przewaga materialna nie przekłada się automatycznie na zwycięstwo. Andrews

przypomina w tym kontekście spektakularne porażki mocarstw w wojnach asymetrycznych. Afganistan wielokrotnie stawał się miejscem, w którym potężne armie zewnętrzne ponosiły klęskę; podobną lekcję Stany Zjednoczone otrzymały w Wietnamie, a Francja wcześniej w Indochinach i Algierii.

Potencjał militarny stanowi najlepszy punkt wyjścia do prognozowania wyniku starcia, lecz nie jest algorytmem jego rozstrzygnięcia. Jak głosi przywoływany przez Andrewsa bon mot, wyścigu nie zawsze wygrywa najszybszy ani bitwy najsilniejszy, ale właśnie na nich rozsądnie jest obstawiać. Dlaczego więc silniejszy przegrywa? Ponieważ wojna nie jest konkursem sumowania uzbrojenia, lecz konfliktem woli, czasu, logistyki, geografii, politycznej odporności i zdolności do zaakceptowania strat. Dla mocarstwa ekspedycyjnego wojna może być jednym z wielu problemów politycznych; dla lokalnego przeciwnika bywa walką o biologiczne, religijne lub wspólnotowe przetrwanie. Koszt, który społeczeństwo bogatego państwa uzna za nieakceptowalny, ruch partyzancki może tolerować przez całe pokolenie. Asymetria zasobów może więc zostać odwrócona przez asymetrię determinacji. Tutaj maksyma Mike'a Tysona, którą Andrews wykorzystuje z przewrotnym upodobaniem, przestaje być tylko dowcipem: każdy ma plan, dopóki nie zostanie uderzony.

Strategie tworzone przed konfliktem zakładają określoną reakcję przeciwnika, tempo operacji czy poziom strat. Wojna jest jednak systemem dynamicznym. Przeciwnik uczy się, zmienia metody, wykorzystuje błędy i wprowadza technologie, których wcześniej nie uwzględniono. Pierwszą ofiarą wojny bywa nie tylko prawda, lecz także model, według którego planowano jej przebieg. Realpolitik w swojej dojrzałej postaci nie jest kultem wojny, lecz raczej nauką o ograniczeniach siły. Machiavelli nie fascynuje tym, że radzi władcom być okrutnymi, ale tym, że odróżnia intencję od skutku. Kissinger nie przyciąga realistów pochwałą niemoralności, lecz przekonaniem, że stabilność może wymagać rozmowy z podmiotem o odpychających wartościach. Tukidydes nie zostawił instrukcji imperialnego podboju, lecz analizę mechanizmu, przez który strach, honor i interes mogą doprowadzić rozsądnych aktorów do katastrofy. Wielka tradycja realizmu jest mniej opowieścią o tym, jak używać siły, niż ostrzeżeniem przed błędnym rozumieniem tego, co siła może osiągnąć. Stąd także pozorna sprzeczność między maksymą Machiavellego o bezpieczeństwie płynącym ze strachu a zasadą Desmonda Tutu, że pokój zawiera się nie z przyjaciółmi, lecz z wrogami.

Siła jako fundament i gwarant prawa

W rzeczywistości obie myśli opisują dwa momenty tego samego procesu. Aby negocjować, trzeba najpierw przetrwać; aby jednak zakończyć konflikt, należy w pewnym momencie wyjść poza

przymus. Państwo potrafiące jedynie odstraszać może być bezpieczne, lecz niekoniecznie zdolne do budowania trwałego porządku. Z kolei państwo, które potrafi jedynie rozmawiać, może wydawać się atrakcyjne, ale sama rozmowa nie pomoże, gdy przeciwnik uzna przemoc za tańszą drogę do celu. Najbardziej dojrzała formuła potęgi nie brzmi więc „siła zamiast prawa", lecz „siła umożliwiająca istnienie prawa". Cywilizacyjny sukces nie polega na całkowitym usunięciu przymusu ze stosunków politycznych – co jest prawdopodobnie niemożliwe – lecz na takim jego zorganizowaniu, aby naruszenie wspólnych reguł stawało się droższe niż ich przestrzeganie. Prawo staje się wówczas technologią ograniczania przemocy, choć wymaga zaplecza instytucjonalnego, gospodarczego i, w sytuacjach granicznych, militarnego. Siła pozbawiona normy degeneruje się natomiast w czysty przymus i musi bez końca finansować własną dominację.

Andrews dotyka tu najbardziej niewygodnego problemu współczesnego Zachodu. Przez kilka dziesięcioleci istniała pokusa, by traktować normatywną przewagę liberalnego ładu jako samodzielne źródło jego trwałości. Tymczasem przez znaczną część epoki powojennej reguły te funkcjonowały w cieniu konkretnej konfiguracji materialnej: amerykańskiej potęgi wojskowej, dominującej pozycji gospodarczej Zachodu, sieci sojuszy, przewagi technologicznej i instytucji finansowych.

Jeżeli ta konfiguracja ulega zmianie, samo powtarzanie zasad nie zatrzyma procesu. Porządek międzynarodowy musi albo znaleźć nowe źródła równowagi i legitymizacji, albo coraz częściej przekonywać się, że norma pozbawiona sprawczości jest formą politycznej prośby. Nie oznacza to jednak triumfu sloganu „might is right". Siła pozwala wygrać bitwę, przejąć terytorium lub wymusić ustępstwo, ale nie potrafi sama uczynić tych działań prawowitymi i trwałymi. Imperia wielokrotnie odkrywały, że możliwość podboju to coś innego niż zdolność rządzenia.

Przymus generuje opór, okupacja kosztuje, sankcje wymuszają adaptację, a monopol rodzi poszukiwanie alternatyw. Władza, która nie potrafi przekształcić przewagi w legitymizację, musi zużywać coraz więcej energii, by utrzymać ten sam rezultat. Nawet najsilniejszy gracz nie może zatem dowolnie ignorować prawa, kultury, ekonomii i percepcji społecznej. Realizm nie głosi, że rację ma silniejszy; mówi coś znacznie mniej komfortowego: silniejszy posiada większą zdolność sprawienia, aby jego wersja racji stała się politycznym faktem. Zadaniem prawa, instytucji i równowagi sił jest ograniczenie tej zdolności tak, by różnica między potęgą a sprawiedliwością nie zamieniła świata w serię dialogów melijskich.

Samo posiadanie siły nie wyjaśnia jednak, gdzie można jej użyć, ile kosztuje jej projekcja i dlaczego pewne fragmenty globu przez stulecia pozostają strategicznymi obsesjami mocarstw. Władza potrzebuje przestrzeni; armia wymaga dróg i baz, flota portów i cieśnin, a gospodarka surowców i szlaków dostaw. Po pytaniu o to, kto może narzucać wolę, pojawia się zatem pytanie: gdzie

geografia pozwala tę wolę wykonywać, a gdzie stawia jej granicę? Zemsta mapy. Geografia, zasoby i wąskie gardła globalizacji.

Siła nie działa w abstrakcyjnej przestrzeni. Aby armia mogła odstraszać, musi dotrzeć na teatr operacyjny. Aby gospodarka mogła produkować, musi otrzymać energię, surowce i komponenty. Aby handel mógł integrować kontynenty, towary muszą pokonać rzeczywistą drogę między portami, cieśninami, kanałami i terminalami. Dlatego pytanie o władzę prowadzi nieuchronnie z powrotem do geografii. Państwo może zmieniać ustrój, sojusze, ideologię czy technologie, lecz nie może w drodze głosowania przesunąć gór, poszerzyć oceanu ani przenieść cieśniny w dogodniejsze miejsce. Geografia nie determinuje polityki w sposób absolutny, ale wyznacza jej koszty. Mapa nie wydaje rozkazów. Wystawia rachunki. Powrót materialności jest jednym z najmocniejszych motywów diagnozy Andrewsa.

Geografia wbudowana w cenę: strategiczne znaczenie wąskich gardeł

Globalizacja przez kilka dekad stwarzała wrażenie, że gospodarka stopniowo uniezależnia się od przestrzeni. Kapitał przemieszczał się niemal natychmiast, dane przekraczały granice w milisekundach, a produkcję dzielono między kontynenty – produkt mógł być projektowany w Kalifornii, wytwarzany w Azji, finansowany w Londynie i sprzedawany jednocześnie na większości rynków świata. Z tej niezwykłej sprawności łatwo było wyprowadzić pochopny wniosek, że odległość została pokonana. Tymczasem globalizacja nie wyeliminowała przestrzeni; uczyniła ją bardziej skomplikowaną i zwiększyła cenę jej zakłócenia.

Współczesna gospodarka może być jednocześnie bardziej globalna i bardziej zależna od kilku niezwykle małych punktów geograficznych. Cieśnina zajmująca na mapie ledwie widoczne miejsce może warunkować funkcjonowanie ogromnych części światowego handlu. Kanał zbudowany przez człowieka potrafi zmienić strategiczną wartość całego regionu, a niewielka wyspa mieć znaczenie niewspółmierne do swojej powierzchni, jeśli kontroluje podejście do portu, szlaku żeglugowego albo przestrzeni powietrznej. W języku geopolityki są to choke points, wąskie gardła, przez które przepływają strumienie znacznie większe od ich fizycznych rozmiarów. Im potężniejszy strumień, tym większa wartość przewężenia.

Najbardziej oczywistym przykładem pozostaje Cieśnina Ormuz. Jej znaczenie nie wynika z romantycznej geografii ani symboliki historycznej. Wynika z elementarnego faktu, że po jednej stronie wąskiego przejścia znajduje się obszar o wyjątkowym znaczeniu dla światowego rynku

energii, a po drugiej otwarta droga na Ocean Indyjski. Geografia zamienia więc ograniczoną przestrzeń morską w punkt, którego bezpieczeństwo staje się problemem wykraczającym daleko poza interes państw nadbrzeżnych. Lokalny konflikt może uzyskać globalną cenę, ponieważ rynek nie reaguje wyłącznie na fizyczny brak surowca, lecz także na ryzyko, niepewność, koszty transportu, wysokość składek ubezpieczeniowych oraz obawę, że przepływ zostanie ograniczony. To istotna korekta ekonomicznego sposobu myślenia o geopolityce.

Cena baryłki ropy nie jest wyłącznie rezultatem relacji między wydobyciem a konsumpcją; zawiera także polityczną ocenę prawdopodobieństwa, że surowiec dotrze do odbiorcy. Geografia zostaje zatem wbudowana w cenę. Cieśnina, wojna, port, sankcja, mina morska albo możliwość zablokowania żeglugi mogą zostać przeliczone przez rynki na pieniądz jeszcze zanim rzeczywiście dojdzie do zakłócenia. Władza geopolityczna działa więc również poprzez oczekiwania ekonomiczne. Podobny mechanizm dotyczy Cieśniny Malakka, która spina Ocean Indyjski z zachodnią częścią Pacyfiku.

Wzrost gospodarczy poszerza geografię interesów

Analiza ta ujawnia fundamentalną zależność między geografią a wzrostem gospodarczym Azji. Im intensywniejsza jest wymiana handlowa państw regionu i im większe pozostaje ich zapotrzebowanie na importowane surowce, tym kluczowe staje się bezpieczeństwo morskich szlaków komunikacyjnych. Sukces ekonomiczny może zatem generować nową strategiczną podatność: państwo bogaci się dzięki handlowi, lecz jednocześnie jego dobrobyt coraz silniej zależy od drożności tras znajdujących się daleko poza własnym terytorium. To jeden z paradoksów potęgi, który będzie miał zasadnicze znaczenie dla analizy Chin. Wzrost gospodarczy zwiększa zasoby państwa, ale równocześnie poszerza obszar interesów wymagających ochrony.

Kraj o niskim poziomie eksportu i importu może prowadzić politykę stosunkowo lokalną. Gospodarka stająca się centrum światowego handlu musi natomiast dbać o porty, cieśniny, szlaki surowcowe, bazy logistyczne oraz stabilność polityczną państw oddalonych o tysiące kilometrów. Bogactwo nie zawsze uwalnia od geografii. Często powiększa geografię interesów. Morze jest w tym kontekście przestrzenią szczególną. Nie należy do nikogo w sposób analogiczny do terytorium państwa, a możliwość bezpiecznego korzystania z niego zależy od porządku politycznego i zdolności militarnych. Przez znaczną część nowożytnej historii kontrola morskich szlaków była jednym z głównych źródeł potęgi imperiów. Hiszpania, Niderlandy, Wielka Brytania, a później Stany Zjednoczone budowały swoją pozycję między innymi dzięki zdolności ochrony własnego handlu i utrudniania wymiany przeciwnika.

Flota nie jest więc jedynie pływającą armią. Jest narzędziem zapewniania lub odbierania gospodarce dostępu do przestrzeni. Dobrze widać to na przykładzie Kanału Sueskiego i Bab el Mandeb. Suez nie stworzył handlu między Europą a Azją, ale radykalnie zmienił jego geografię. Skracając drogę między basenem Morza Śródziemnego a Oceanem Indyjskim, zwiększył znaczenie całego korytarza prowadzącego przez Morze Czerwone. W konsekwencji bezpieczeństwo wąskiego przesmyku pomiędzy Półwyspem Arabskim a Rogiem Afryki stało się elementem bezpieczeństwa handlowego państw oddalonych od niego o tysiące kilometrów. Ataki Huti na żeglugę na Morzu Czerwonym pokazały w praktyce kluczową cechę współczesnej geopolityki: nie trzeba dysponować gospodarką mocarstwa ani flotą porównywalną z największymi marynarkami świata, aby wpływać na zachowanie globalnych przedsiębiorstw. Wystarczy stworzyć wiarygodne zagrożenie w odpowiednim miejscu. Firma żeglugowa nie musi bowiem czekać na zatopienie statku, by zmienić trasę.

Geografia jako dźwignia siły i pułapka współzależności

Gdy prawdopodobieństwo ataku przekracza akceptowalny poziom, kalkulacja ekonomiczna zaczyna premiować dłuższą, lecz bezpieczniejszą drogę. Geografia umożliwia zatem asymetrycznemu aktorowi narzucenie kosztów podmiotom wielokrotnie od niego potężniejszym. Jest to kluczowe dla teorii Andrewsa, gdyż pokazuje, że mapa może multiplikować siłę. Władza nie zależy wyłącznie od ilości posiadanych zasobów, lecz przede wszystkim od miejsca, w którym można je wykorzystać. Niewielka zdolność destrukcyjna na pustym oceanie ma ograniczoną wartość strategiczną; ta sama siła uderzeniowa przy wejściu do kluczowego korytarza handlowego może wywołać skutki odczuwalne na wielu kontynentach. Geografia działa jak dźwignia. Pozwala stosunkowo małemu naciskowi poruszyć znacznie większy system.

Ever Given, który w 2021 roku utknął w Kanale Sueskim, dostarczył niemal podręcznikowej ilustracji tego mechanizmu, mimo że nie był to incydent militarny. Jeden statek wystarczył, by na kilka dni sparaliżować jeden z najważniejszych szlaków handlowych świata. Przypadek ten ma moc symboliczną. Globalizacja, przedstawiana jako rozproszona i cyfrowa sieć, została na moment zatrzymana przez bardzo fizyczny kadłub stojący w bardzo fizycznym kanale. Żadna platforma cyfrowa nie była w stanie sprawić, by kontener przepłynął przez ląd. Była to lekcja kruchości systemu zoptymalizowanego pod kątem efektywności.

Przez dziesięciolecia ekonomia uczyła przedsiębiorstwa redukować zapasy, skracać czas magazynowania i korzystać z najkrótszych tras. W normalnych warunkach obniżało to koszty, jednak odporność i efektywność nie zawsze idą w parze. System oparty na dostawach „dokładnie na

czas” działa doskonale tylko do momentu, gdy wszystko rzeczywiście dociera na czas. Rezerwa, alternatywna trasa czy krajowy producent wydają się kosztowną nieefektywnością, dopóki główny kanał funkcjonuje. Gdy zostaje przerwany, ta sama redundancja okazuje się polisą bezpieczeństwa. Geopolityka zmusza zatem ekonomię do ponownego odkrycia wartości nadmiaru.

W języku rynkowym niewykorzystana zdolność produkcyjna wygląda jak strata; w języku bezpieczeństwa jest rezerwą strategiczną. Alternatywny dostawca może być droższy, lecz jego istnienie zmniejsza podatność na szantaż. Magazyny surowców zwiększają koszty bieżące, ale wydłużają czas reakcji w kryzysie. Rozproszony łańcuch dostaw bywa mniej elegancki od perfekcyjnie zoptymalizowanego, lecz jest bardziej odporny. W tym miejscu geopolityka spotyka się z teorią ryzyka: najtańszy system niekoniecznie jest najlepszym, jeśli koszt jego awarii okazuje się katastrofalny.

Dlatego coraz ważniejszym elementem potęgi staje się zdolność do tworzenia alternatyw. Państwo uzależnione od jednego dostawcy, trasy czy technologii może być formalnie suwerenne, lecz zakres jego realnego wyboru pozostaje ograniczony. Suwerenność strategiczna nie musi oznaczać autarkii – całkowita samowystarczalność w złożonej gospodarce byłaby zbyt kosztowna i prowadziła do utraty korzyści ze specjalizacji. Chodzi raczej o poziom dywersyfikacji, który utrudnia przekształcenie zależności gospodarczej w polityczny przymus. Współzależność posiada bowiem dwie twarze.

Liberalna teoria stosunków międzynarodowych słusznie wskazuje, że handel podnosi koszt konfliktu, gdyż państwa powiązane kapitałowo mają więcej do stracenia. Nie oznacza to jednak, że współzależność automatycznie gwarantuje pokój. Jeśli zależność jest asymetryczna, staje się źródłem władzy. Strona, która łatwiej zniesie zerwanie relacji, może wykorzystać ją jako narzędzie nacisku. Gazociąg jest więc jednocześnie infrastrukturą współpracy i potencjalnym instrumentem przymusu. System płatniczy ułatwia handel, ale może służyć do odcięcia przeciwnika od finansów. Dostawca technologii tworzy wartość dla odbiorcy, a zarazem zyskuje możliwość blokady aktualizacji czy serwisu. Państwo dominujące w określonym ogniwie łańcucha dostaw nie musi wysyłać armii, by osiągnąć cel polityczny – wystarczy, że wykorzysta samą strukturę współzależności.

Nowoczesna geografia to materialność infrastruktury i technologii

Geografia rozszerza się w ten sposób poza klasyczną mapę. Nadal liczą się morza, cieśniny, góry i równiny, lecz współczesna mapa potęgi obejmuje również gazociągi, porty kontenerowe, terminale LNG, elektrownie, sieci przesyłowe, centra danych, fabryki półprzewodników i podmorskie kable telekomunikacyjne. Choć nie wszystkie te obiekty są naturalne, po ich zbudowaniu stają się geograficznymi faktami. Infrastruktura jest polityką zamienioną w beton, stal, światłowód i logistykę.

Podmorskie kable komunikacyjne szczególnie dobrze ilustrują tę przemianę. Obraz internetu jako niematerialnej „chmury" jest językowo sugestywny, ale fizycznie mylący. Ogromna część globalnej komunikacji międzykontynentalnej zależy od infrastruktury biegnącej po dnie mórz i oceanów, która wychodzi na ląd w konkretnych punktach. Cyfrowy świat posiada więc własne cieśniny. Informacja, pozornie pozbawiona przestrzeni, ostatecznie wraca do geografii poprzez kable, serwerownie, źródła energii i stacje lądowania. Ta materialność cyfrowej potęgi podważa złudzenie, jakoby cyberprzestrzeń była równoległym wszechświatem niezależnym od terytorium.

Dane muszą być przechowywane, urządzenia wyprodukowane, energia dostarczona, a infrastruktura chroniona. Nawet najbardziej zaawansowany algorytm potrzebuje procesora, fabryki zdolnej go stworzyć oraz sieci energetycznej, która pozwoli go uruchomić. Paradoksalnie, im bardziej gospodarka staje się cyfrowa, tym większa może być wartość konkretnych, materialnych zasobów. Półprzewodnik przestał być tylko produktem przemysłowym – stał się przedmiotem geopolityki. To komponent umożliwiający funkcjonowanie ogromnej części współczesnego świata: od telefonów i samochodów po systemy wojskowe oraz sztuczną inteligencję. Koncentracja zaawansowanej produkcji w określonych miejscach nadaje im znaczenie strategiczne, przez co geografia technologii zaczyna przypominać dawną geografię surowców. Ropa, gaz, metale ziem rzadkich, procesory i moce obliczeniowe należą do różnych kategorii ekonomicznych, ale w polityce łączy je jedno pytanie: kto kontroluje dostęp?

Geografia nie jest statyczna; technologia zmienia wartość przestrzeni. Kanał Sueski skrócił drogę między Europą a Azją, kolej zmieniła strategiczne znaczenie wielkich obszarów kontynentalnych, a lotnictwo zmniejszyło ochronną wartość oceanów. Pociski dalekiego zasięgu przedefiniowały sens strategicznej głębi. Satelity umożliwiły obserwację miejsc dawniej ukrytych, a drony pozwoliły tanio razić cele poza bezpośrednim zasięgiem operatora. Nie oznacza to jednak końca geografii, lecz zmianę jej funkcji. Najlepiej wyraża to pozorny paradoks: technologia pokonuje jedne odległości, tworząc jednocześnie inne. Samolot skraca czas podróży, lecz potrzebuje lotniska i paliwa. Rakieta

przekracza granicę, ale jej zasięg zależy od miejsca wystrzelenia. Satelita obserwuje ogromne obszary, wymagając infrastruktury naziemnej. Dron może ominąć linię frontu, lecz potrzebuje komunikacji i komponentów. Mapa zmienia się wraz z technologią, ale nie znika.

Podobnie działa klimat. W perspektywie Andrewsa zmiana klimatyczna nie jest wyłącznie problemem środowiskowym; ma głębokie konsekwencje geopolityczne, gdyż przekształca warunki życia, rozmieszczenie zasobów, presję migracyjną oraz dostępność przestrzeni. Region dotąd nieprzyjazny żegludze może nabrać wartości transportowej, a obszar zależny od konkretnych warunków wodnych może stracić dotychczasową przewagę. Zmiana dostępności wody wpływa na rolnictwo i napięcia społeczne. Klimat przesuwa więc parametry mapy bez przesuwania samych granic.

Arktyka jest najbardziej spektakularnym przykładem tej transformacji. Przez większość nowoczesnej historii jej ekstremalne warunki ograniczały wykorzystanie gospodarcze i wojskowe. Wraz ze zmniejszaniem się pokrywy lodowej rośnie jednak zainteresowanie szlakami żeglugowymi, zasobami oraz kontrolą północnych przestrzeni. To, co dawniej było barierą, może stawać się korytarzem. W geopolityce taka zmiana jest równoważna z pojawieniem się nowego fragmentu szachownicy.

Nie należy jednak upraszczać tej perspektywy do wizji nieuchronnej „walki o Arktykę". Możliwość wykorzystania przestrzeni nie oznacza automatycznej opłacalności ekonomicznej, a rosnące znaczenie strategiczne nie musi prowadzić do konfliktu. Warunki pogodowe, infrastruktura, prawo międzynarodowe, koszty ubezpieczeń oraz rozwój technologii nadal będą ograniczać tempo zmian. Realizm wymaga sceptycyzmu wobec dramatycznych scenariuszy. Mapa stwarza możliwości i ograniczenia, ale nie pisze gotowego scenariusza przyszłości.

To rozróżnienie jest kluczowe dla prawidłowego odczytania Andrewsa. Geopolityczny determinizm byłby równie błędny jak geopolityczna ślepota. Wielka Brytania nie stworzyła imperium wyłącznie dlatego, że była wyspą. Rosja nie prowadzi określonej polityki tylko z powodu rozległego terytorium. Chiny nie są skazane na rywalizację ze Stanami Zjednoczonymi przez samo położenie.

Geografia jako język rywalizacji i interpretacji siły

Geografia determinuje zestaw dostępnych strategii, ich koszty oraz postrzegane zagrożenia, jednak ostateczne decyzje pozostają domeną ludzi, instytucji i kultur politycznych. Dlatego trafniej jest stwierdzić, że geografia tworzy trwałe pytania, na które kolejne pokolenia udzielają zmiennych

odpowiedzi. Rosja od wieków zmaga się z problemem ogromnych przestrzeni i bezpieczeństwa granic, lecz odpowiedzi carów, bolszewików i przywódców Federacji Rosyjskiej nie były tożsame.

Wielka Brytania wykorzystywała swoje położenie wyspiarskie inaczej w epoce żaglowców, inaczej w okresie dominacji Royal Navy, a jeszcze inaczej w świecie pocisków balistycznych i NATO. Chiny pozostawały wielką cywilizacją kontynentalną, ale wraz z integracją z globalnym handlem morskim zmieniło się znaczenie oceanów dla ich bezpieczeństwa. Geografia staje się polityczna poprzez interpretację. Ta sama cieśnina może być dla jednego państwa drogą handlową, dla drugiego linią obrony, a dla trzeciego potencjalnym miejscem blokady. To samo morze może stanowić wspólną przestrzeń gospodarczą i jednocześnie obszar rywalizacji wojskowej.

Nie istnieje zatem czysta geografia niezależna od interesu. Istnieją materialne fakty przestrzenne oraz polityczne znaczenia, które państwa im nadają. Z tego powodu mapy strategiczne nigdy nie są neutralne. To, co geograf zaznacza jako wyspę, analityk wojskowy widzi jako platformę projekcji siły. To, co ekonomista określa mianem portu przeładunkowego, strateg postrzega jako węzeł logistyczny. To, co przedsiębiorca traktuje jako efektywny korytarz handlowy, przeciwnik uzna za punkt podatności.

Jedna przestrzeń posiada wiele równoległych znaczeń. Najważniejszą konsekwencją tego ujęcia jest odejście od iluzji, że globalizacja i geopolityka są przeciwieństwami. W rzeczywistości globalizacja stworzyła własną geopolitykę. Im więcej dóbr przekracza granice, tym większe znaczenie mają trasy ich przepływu. Im bardziej produkcja jest rozproszona, tym ważniejsze stają się węzły łączące jej fragmenty. Im większa współzależność finansowa, tym skuteczniejsze mogą być instrumenty przymusu ekonomicznego. Im bardziej cyfrowa gospodarka, tym cenniejsze stają się jej fizyczne punkty koncentracji. Globalizacja nie zlikwidowała murów, lecz połączyła je przewodami, rurociągami i szlakami żeglugowymi. Przez kilka dekad fascynowaliśmy się połączeniami i zbyt rzadko pytaliśmy, kto kontroluje zawory.

To pytanie prowadzi bezpośrednio do rywalizacji mocarstw. Stany Zjednoczone posiadają wyjątkową zdolność działania na oceanach dzięki sieci sojuszy, baz, partnerstw i wieloletniej przewadze morskiej. Chiny, których wzrost oparto na włączeniu w światowy handel, muszą jednocześnie dbać o bezpieczeństwo szlaków, którymi przepływają towary i surowce niezbędne do funkcjonowania państwa. Z tej perspektywy Morze Południowochińskie, Cieśnina Malakka, Ocean Indyjski i Tajwan przestają być oddzielnymi zagadnieniami. Łączy je pytanie o to, kto posiada zdolność zapewnienia albo zakłócenia przepływu.

Tutaj geografia spotyka się z pułapką Tukidydesa. Rosnące mocarstwo nie tylko zwiększa swój PKB, budżet wojskowy i możliwości technologiczne – zaczyna również inaczej patrzeć na mapę.

Przestrzenie, które wcześniej leżały poza jego horyzontem strategicznym, stają się przedmiotem żywotnego zainteresowania. Dotychczasowy hegemon może interpretować tę ekspansję jako zagrożenie dla istniejącego porządku, podczas gdy pretendent przedstawia ją jako naturalną ochronę własnych interesów. To samo działanie zostaje więc opisane przez jedną stronę jako defensywna konieczność, a przez drugą jako ofensywna rewizja status quo.

Wtedy mapa przestaje być tłem rywalizacji, a staje się jej językiem. Porty, wyspy, cieśniny, bazy, strefy ekonomiczne i szlaki komunikacyjne zaczynają wyznaczać granice wzajemnego lęku. Państwa nie muszą pragnąć wojny, aby zwiększać zdolności, które druga strona interpretuje jako przygotowanie do konfliktu. Wystarczy, że każde z nich próbuje zabezpieczyć własną pozycję przed scenariuszem, którego się obawia. Geografia dostarcza przestrzeni dla tego paradoksu bezpieczeństwa, a rosnąca potęga nadaje mu dynamikę. Warto zatem przesunąć punkt ciężkości z mapy na relację dwóch aktorów, którzy coraz wyraźniej odczytują tę samą mapę w różny sposób.

Pułapka Tukidydesa jako strukturalny model ryzyka konfliktu

Z jednej strony rozbudowa chińskich możliwości wojskowych jest naturalną konsekwencją wzrostu mocarstwa, które pragnie chronić handel i odzyskać należne mu miejsce w systemie. Z drugiej – stanowi zmianę równowagi, mogącą ograniczyć swobodę działania Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników w Indo-Pacyfiku. Pomiędzy tymi dwiema narracjami znajduje się Tajwan, a za nim znacznie większe pytanie: czy rosnąca potęga i mocarstwo dominujące potrafią zaakceptować wzajemne ograniczenia, zanim strach przed przyszłą przewagą przeciwnika uczyni konflikt racjonalnym w teraźniejszości? Pułapka Tukidydesa. Amerykańska Sparta i chińskie Ateny.

Geografia dostarcza sceny, na której rozgrywa się polityka mocarstw; zmiana względnej potęgi nadaje tej scenie dramaturgię. Andrews sięga po jedną z najbardziej sugestywnych współczesnych metafor stosunków międzynarodowych: Pułapkę Tukidydesa. Jej sens wywodzi się ze starożytnej diagnozy wojny peloponeskiej, według której wzrost potęgi Aten oraz strach, jaki wywołał on w Sparcie, uczyniły konflikt nieuniknionym. W nowoczesnej interpretacji Grahama Allisona mechanizm ten opisuje nie tyle agresywność konkretnego państwa, co strukturalne napięcie pojawiające się wtedy, gdy rosnące mocarstwo zaczyna podważać pozycję mocarstwa dominującego. Andrews przenosi tę konstrukcję na relacje amerykańsko-chińskie: Stany Zjednoczone zajmują pozycję współczesnej Sparty, Chiny zaś odgrywają rolę Aten, których wzrost sam w sobie zmienia sposób postrzegania bezpieczeństwa przez dotychczasowego hegemona. Metafora ta jest atrakcyjna, ponieważ przenosi punkt ciężkości z zamiarów na relacje. Wojna nie

musi zaczynać się od przywódcy pragnącego walki; może wynikać z działań dwóch podmiotów przekonanych, że zachowują się racjonalnie i defensywnie.

Rosnące mocarstwo dąży do uzyskania wpływów odpowiadających jego nowej sile gospodarczej i militarnej. Mocarstwo dominujące widzi w tych żądaniach naruszenie status quo, którego utrzymanie przez dziesięciolecia uznawało za naturalny element porządku. Pierwsze twierdzi, że domaga się należnego miejsca; drugie odpowiada, że broni stabilności. Każde z nich może zatem postrzegać własną politykę jako reaktywną, a działania przeciwnika jako ekspansywne. Właśnie strach, a nie sama potęga, jest kluczowym elementem tukidydesowskiej konstrukcji. Rosnące Ateny nie były dla Sparty problemem dlatego, że stawały się bogatsze w sensie abstrakcyjnym. Problemem było pytanie o przyszłość: co stanie się ze Spartą, jeżeli wzrost Aten będzie trwał?

Podobną logikę odnajdujemy we współczesnej rywalizacji strategicznej. Polityka państwa nie reaguje wyłącznie na aktualny stan potencjału przeciwnika, lecz również na prognozę. Gdy równowaga wydaje się korzystna, ale trend wskazuje na jej pogarszanie, pojawia się pokusa działania wcześniej – zanim koszt przeciwstawienia się konkurentowi stanie się zbyt wysoki. Pułapka Tukidydesa jest więc w istocie pułapką czasu.

Dominujące mocarstwo patrzy na teraźniejszość przez pryzmat możliwej utraty przewagi, a pretendent przez pryzmat przyszłej pozycji, którą uważa za należną. Pierwsze może próbować zatrzymać zmianę, drugie ją przyspieszać. Zachowanie, które w statycznym świecie byłoby nieracjonalne, zaczyna wyglądać racjonalnie, gdy obie strony uwzględniają nadchodzącą zmianę bilansu sił. To jeden z najbardziej niebezpiecznych mechanizmów polityki mocarstwowej: wojna może zostać uznana za zbyt kosztowną dzisiaj, lecz jednocześnie za jeszcze kosztowniejszą jutro. Allison nadał temu argumentowi historyczną wagę, identyfikując szesnaście przypadków z ostatnich pięciu stuleci, w których rosnące mocarstwo rzucało wyzwanie dominującemu; w dwunastu z nich doszło do wojny, w czterech udało się jej uniknąć. Liczba ta robi wrażenie, lecz nie wolno zamieniać jej w geopolityczne proroctwo. Szesnaście historycznych przykładów nie stanowi próby statystycznej pozwalającej wyprowadzić matematyczne prawdopodobieństwo przyszłego konfliktu amerykańsko-chińskiego. Dobór przypadków, ich porównywalność oraz znaczenie kategorii „mocarstwa rosnącego” i „dominującego” pozostają przedmiotem interpretacji. Allison sam podkreśla zresztą, że wojna nie jest przeznaczeniem, a właśnie przypadki pokojowego dostosowania są istotnym elementem jego analizy. Pułapka powinna być zatem rozumiana jako model ryzyka, a nie wyrok historii. Ta różnica jest kluczowa.

Jeżeli wojna jest nieuchronna, dyplomacja staje się jedynie przygotowaniem do jej nadejścia. Jeśli natomiast mechanizm Tukidydesa opisuje strukturę presji, wiedza o niej może zwiększyć zdolność uniknięcia katastrofy. Medycyna nie uznaje czynnika ryzyka za przeznaczenie pacjenta; podobnie

geopolityka nie powinna utożsamiać historycznej regularności z determinizmem. Historia jest ostrzeżeniem tym cenniejszym, im mniej traktuje się ją jak astrologię.

Rywalizacja mocarstw jako starcie modeli ustrojowych i narracji o wielkości

Szczególny charakter współczesnego sporu wynika przede wszystkim ze skali Chin. Nie mamy tu do czynienia z państwem dążącym do lokalnej przewagi nad sąsiadami, lecz z aktorem o potencjale gospodarczym, demograficznym i technologicznym, który pozwala mu realnie wpływać na strukturę systemu światowego. Chiny przez dekady rozwijały się wewnątrz globalnego obiegu gospodarczego, wykorzystując handel, inwestycje i transfer technologii, zachowując jednocześnie system polityczny odmienny od liberalnych demokracji Zachodu. W ten sposób zakwestionowano jedno z kluczowych założeń końca XX wieku: przekonanie, że integracja ekonomiczna nieuchronnie doprowadzi do politycznej konwergencji. Chiński sukces udowodnił możliwość innej syntezy – globalizacji gospodarczej bez liberalizacji ustrojowej na wzór zachodni. Dla Stanów Zjednoczonych problemem nie jest więc tylko pojawienie się potężnego konkurenta, ale fakt, że Chiny oferują alternatywny sposób łączenia rynku, państwa i kontroli politycznej.

Rywalizacja zyskuje przez to wymiar ideologiczny, nawet gdy obie strony deklarują pragmatyzm. Potęga modelu politycznego nie polega bowiem tylko na możliwości jego eksportu, lecz na udowodnieniu, że modernizację można osiągnąć bez przyjmowania instytucjonalnego wzorca dotychczasowego hegemona. Jednocześnie chińska narracja wzrostu jest nierozerwalnie związana z pamięcią historyczną. W koncepcji „chińskiego marzenia” i odrodzenia narodu obecny sukces zostaje wpisany w dłuższą opowieść o przezwyciężaniu "stulecia upokorzeń". Historia nie służy tu jedynie opisowi przeszłości, lecz staje się narzędziem legitymizacji władzy. Jeśli dawna słabość była źródłem poniżeń, to współczesna potęga jest warunkiem odzyskania godności. W tym ujęciu wzrost gospodarczy, modernizacja armii i integralność terytorialna stają się elementami jednej opowieści o narodowym odrodzeniu.

Po stronie amerykańskiej działa zwierciadlane wyobrażenie historyczne. Stany Zjednoczone przez większość czasu po zimnej wojnie przywykły do świata, w którym żadna pojedyncza potęga nie równoważyła ich globalnej zdolności działania. Sieć sojuszy, dominacja finansowa i militarna obecność na wielu kontynentach tworzyły system, który z perspektywy Waszyngtonu był ochroną liberalnego porządku, lecz dla konkurenta musiał wyglądać jak struktura hegemonii. To samo urządzenie świata może być jednocześnie „systemem bezpieczeństwa” dla beneficjenta i „systemem ograniczania” dla pretendenta.

Hasła polityczne mają w tej rywalizacji większe znaczenie, niż sugerowałaby ich marketingowa prostota. „China Dream" i „Make America Great Again" są ideologicznie odmienne, lecz łączy je wspólna struktura retoryczna: oba odwołują się do wizji utraconej lub niedokończonej wielkości. Andrews trafnie zauważa, że rywalizacja mocarstw nie toczy się wyłącznie w sferze budżetów i flot, ale także pomiędzy opowieściami o miejscu narodu w historii. Gdy polityka zagraniczna splata się z godnością zbiorową, kompromis staje się trudniejszy – ustępstwo przestaje być racjonalną transakcją, a zaczyna być postrzegane jako narodowe upokorzenie.

Najbardziej niebezpiecznym punktem przecięcia tych narracji pozostaje Tajwan. Dla Pekinu kwestia wyspy to sprawa suwerenności i niedokończonego zjednoczenia narodowego. Oficjalne stanowisko ChRL w 2026 roku pozostaje jednoznaczne: jest to wewnętrzna sprawa Chin, a jej rozwiązanie wiąże się z celem pełnego zjednoczenia. Oznacza to, że z punktu widzenia Pekinu konflikt wokół Tajwanu nie jest zwyczajnym sporem o strefę wpływów, lecz zagadnieniem dotyczącym samej definicji państwa chińskiego.

Technologiczny dylemat bezpieczeństwa i pułapka tożsamości

Z perspektywy Stanów Zjednoczonych konstrukcja ta jest inna i bardziej złożona. Taiwan Relations Act ustanawia politykę utrzymywania pokoju oraz stabilności w zachodnim Pacyfiku, przewidując dostarczanie Tajwanowi środków obronnych i utrzymywanie przez USA zdolności do przeciwstawienia się użyciu siły lub innym formom przymusu zagrażającym bezpieczeństwu mieszkańców wyspy. Ustawa traktuje każdą próbę określenia przyszłości Tajwanu metodami innymi niż pokojowe jako zagrożenie dla pokoju w regionie oraz sprawę poważnie niepokojącą Stany Zjednoczone. Wymaga to jednak istotnego doprecyzowania względem spotykanej niekiedy skrótowej formuły.

Taiwan Relations Act nie ustanawia bowiem automatycznej gwarancji militarnej, analogicznej do artykułu 5 Traktatu Północnoatlantyckiego. Amerykańska polityka przez dekady celowo pozostawiała pewien zakres niejednoznaczności co do reakcji na konkretny scenariusz konfliktu. Strategiczna niejednoznaczność jest tu instrumentem odstraszania: Pekin nie może być pewien amerykańskiej bierności, a Tajpej nie otrzymuje bezwarunkowej zachęty do działań, które mogłyby sprowokować starcie. Konstrukcja ta ma utrzymywać stan niepewności po obu stronach, gdyż całkowita pewność jednej z nich mogłaby paradoksalnie zwiększyć ryzyko eskalacji. Tajwan staje się w ten sposób niemal laboratoryjnym przypadkiem pułapki Tukidydesa.

Dla Chin wycofanie się z roszczenia do zjednoczenia uderzyłoby w jeden z centralnych elementów narracji o narodowym odrodzeniu. Dla Stanów Zjednoczonych przymusowa zmiana status quo mogłaby zostać odczytana jako dowód osłabienia zdolności odstraszania i wiarygodności amerykańskiej obecności w Indo-Pacyfiku. Z kolei dla samego Tajwanu zagadnienie to dotyczy bezpieczeństwa społeczeństwa posiadającego własne instytucje polityczne, gospodarkę i demokratyczny system rządów. Trzy perspektywy nakładają się na siebie, lecz nie są symetryczne i nie definiują stawki konfliktu w ten sam sposób. Właśnie na tym polega szczególne niebezpieczeństwo sporów o tożsamość i prestiż.

Ekonomiczny kompromis można zazwyczaj przeliczyć: można obniżyć cło, podzielić rynek, zmienić kontyngent czy wynegocjować okres przejściowy. Znacznie trudniej podzielić suwerenność, godność, narodową pamięć albo symboliczny status terytorium. Gdy przedmiot konfliktu przenosi się w obszar tożsamości, ekonomiczna cena wojny może przestać pełnić funkcję wystarczającego odstraszacza. Nie oznacza to jednak, że gospodarcza współzależność Stanów Zjednoczonych i Chin utraciła na znaczeniu – jest ona nadal ogromna.

Według USTR handel towarami między oboma państwami wyniósł w 2025 roku około 414,7 miliarda dolarów, mimo wyraźnego spadku względem roku wcześniejszego. Co więcej, po ostrej eskalacji taryfowej w 2025 roku oba kraje prowadziły kolejne rundy negocjacji, a w 2026 rozwijały mechanizmy zarządzania relacjami handlowymi. Rywalizacja nie oznacza więc ekonomicznego rozwodu. Jest raczej próbą ograniczania podatności przy jednoczesnym zachowaniu tych elementów współpracy, których zerwanie byłoby zbyt kosztowne. To właśnie czyni współczesną konkurencję odmienną od prostego modelu dwóch izolowanych bloków.

Apple może konkurować z przedsiębiorstwami azjatyckimi i jednocześnie zależeć od tamtejszych łańcuchów dostaw; państwa mogą nakładać ograniczenia technologiczne, prowadząc zarazem handel liczony w setkach miliardów dolarów. Andrews słusznie posługuje się tu analogią konkurujących firm, które walczą o rynek, lecz pozostają połączone wzajemnymi dostawami. Współczesna geopolityka nie zawsze wymaga wyboru między współpracą a konfliktem – coraz częściej oba procesy zachodzą równocześnie. Najbardziej widocznym polem tej ambiwalencji stała się technologia.

Półprzewodniki, sztuczna inteligencja, telekomunikacja, technologie kwantowe, systemy satelitarne i zaawansowane zdolności produkcyjne nie są już postrzegane wyłącznie jako sektory gospodarki. Stały się elementami infrastruktury bezpieczeństwa narodowego. Wynika z tego zasadnicza zmiana paradygmatu: przewaga przedsiębiorstwa w technologii może zostać uznana za strategiczną przewagę państwa, a kontrola eksportu produktu za instrument polityki bezpieczeństwa. W efekcie konkurencja technologiczna tworzy mechanizm samowzmacniający.

Stany Zjednoczone ograniczają dostęp konkurenta do najbardziej zaawansowanych technologii w obawie przed ich wykorzystaniem do zwiększenia chińskiego potencjału gospodarczego i wojskowego. Chiny odczytują te ograniczenia jako dowód, że zależność technologiczna jest zagrożeniem, co przyspiesza programy samowystarczalności. Sukces tych programów potęguje z kolei amerykańską obawę przed utratą przewagi, co uzasadnia kolejne restrykcje. Każda strona interpretuje własne działania jako obronne, podczas gdy przeciwnik widzi w nich strategię powstrzymywania lub wypierania. To klasyczny dylemat bezpieczeństwa przeniesiony z czołgów i rakiet na półprzewodniki i laboratoria.

W tradycyjnej wersji państwo zwiększa armię dla własnej ochrony, skłaniając sąsiada do analogicznego kroku. W wersji technologicznej państwo ogranicza transfer strategicznej wiedzy, zmuszając konkurenta do budowy autonomicznych zdolności, których powstanie później uzasadnia pierwotną obawę. Technologia nie usuwa więc logiki Realpolitik – przenosi ją jedynie na nowe pole.

Podobny mechanizm działa w sferze militarnej. Modernizacja chińskiej marynarki może być w Pekinie interpretowana jako naturalna konsekwencja wzrostu gospodarczego i konieczność ochrony coraz szerszych interesów morskich. W Waszyngtonie ta sama modernizacja jest oceniana przez pryzmat możliwej redukcji amerykańskiej swobody działania w zachodniej części Pacyfiku. Amerykańskie wzmacnianie sojuszy i partnerstw w regionie może z kolei być postrzegane w Waszyngtonie jako defensywne zabezpieczenie istniejącego ładu, a w Pekinie jako infrastruktura strategicznego okrążania Chin.

Mechanizm eskalacji i nieprzewidywalność konfliktu mocarstw

Nie trzeba zakładać złej woli żadnej ze stron, by uruchomić spiralę napięcia. Pułapka Tukidydesa jest przede wszystkim teorią błędnej interpretacji wzajemnego bezpieczeństwa. Strona A uzbraja się z lęku przed stroną B. Ta ostatnia widzi zbrojenia A i uznaje swój wcześniejszy strach za potwierdzony, co skłania ją do zwiększenia własnego potencjału. Dla strony A jest to dowód, że pierwotna obawa była słuszna. System produkuje własne uzasadnienia. Każdy krok podejmowany w celu zwiększenia bezpieczeństwa pojedynczego aktora może paradoksalnie zmniejszać poczucie bezpieczeństwa całego układu.

Do tego dochodzi problem sojuszy. Stany Zjednoczone posiadają znaczącą przewagę strukturalną, wynikającą z rozbudowanej sieci formalnych sojuszników i partnerów bezpieczeństwa. Chiny dysponują natomiast wyjątkowo szeroką siecią zależności handlowych, jednak ich architektura

sojusznicza różni się od amerykańskiej. Notatka Andrewsa trafnie ujmuje tę asymetrię, przeciwstawiając amerykańską sieć sojuszy chińskiej sile powiązań gospodarczych. Nie oznacza to, że jedna forma wpływu automatycznie przewyższa drugą; pokazuje raczej, że oba mocarstwa dysponują odmiennymi ekosystemami potęgi.

Sieć sojuszy niesie jednak ze sobą ryzyko. Choć odstrasza potencjalnego agresora koniecznością starcia z większą liczbą państw, może jednocześnie stworzyć mechanizm transmisji kryzysu. Konflikt lokalny przestaje być lokalny w momencie, gdy strony są związane zobowiązaniami wobec potężniejszych partnerów. Wojna peloponeska oraz wydarzenia z 1914 roku przypominają, że mocarstwa nie zawsze rozpoczynają wielką wojnę bezpośrednio między sobą – czasem zostają do niej wciągnięte przez kryzys na peryferiach własnych zobowiązań. Andrews słusznie zwraca uwagę nie tylko na Tajwan, lecz także na Morze Południowochińskie i Wschodniochińskie.

Zagrożeniem jest bowiem nie wyłącznie zaplanowana inwazja, lecz również incydent: kolizja jednostek, błędnie zinterpretowany manewr, śmierć żołnierzy, naruszenie przestrzeni, pomyłka systemu ostrzegania albo reakcja polityczna pod presją opinii publicznej. W warunkach intensywnego nacjonalizmu przywódcy mogą odkryć, że politycznie łatwiej jest eskalować, niż wyjaśnić własnemu społeczeństwu konieczność ustępstwa. Tu powraca Mike Tyson ze swoim brutalnym aforyzmem: każdy ma plan, dopóki nie dostanie pierwszego ciosu.

Strategiczne scenariusze wojny amerykańsko-chińskiej opierają się na ogromnej liczbie modeli, prognoz i symulacji. Można zaplanować ruchy flot, lotnictwa, systemów rakietowych czy cyberobrony, ale znacznie trudniej przewidzieć psychologię społeczeństwa po pierwszych stratach, reakcję rynków, zachowanie sojuszników czy polityczne konsekwencje zatopienia okrętu z setkami ludzi na pokładzie. Wojna jest właśnie tym momentem, w którym system zaczyna generować informacje wcześniej nieobecne w modelu. Każda strona poznaje rzeczywiste zdolności przeciwnika, odkrywając jednocześnie własne ograniczenia.

Technologia, która miała działać, może zawieść. Sojusznik może zachować się inaczej, niż zakładano. Przeciwnik może nie przestraszyć się straty uznawanej za nieakceptowalną. Lider może stać się zakładnikiem retoryki, której używał przez lata do legitymizowania swojej polityki. Eskalacja przestaje wtedy być drabiną, po której świadomie wchodzi się szczebel po szczeblu, a zaczyna przypominać ruchome schody, z których coraz trudniej zejść.

Konkurencyjna współzależność jako alternatywa dla wojny

Broń nuklearna fundamentalnie zmienia logikę tej gry. Jej obecność może działać stabilizująco, gdyż koszt bezpośredniego starcia mocarstw staje się niewyobrażalny. Zimna wojna udowodniła, że dwa głęboko antagonistyczne systemy potrafią rywalizować przez dziesięciolecia bez wybuchu pełnoskalowego konfliktu militarnego. Jednocześnie odstraszanie nuklearne nie eliminuje konfliktu, lecz przesuwa go w inne obszary: ku wojnom zastępczym, presji ekonomicznej, wyścigowi technologicznemu czy operacjom wywiadowczym i cybernetycznym. Nuklearne odstraszanie jest więc zarazem hamulcem i zachętą do rywalizacji poniżej progu wojny totalnej. Skoro bezpośrednia konfrontacja niesie ze sobą skrajne ryzyko, rośnie znaczenie działań, które można prowadzić bez przekraczania tej granicy. Powstaje ogromna szara strefa między pokojem i wojną.

W tym obszarze cele strategiczne mogą być realizowane bez formalnego wypowiedzenia wojny. Narzędzia ekonomiczne — takie jak cła, sankcje, kontrola eksportu czy uzależnianie partnerów — współistnieją tu z działaniami w cyberprzestrzeni, dezinformacją oraz presją militarną w postaci ćwiczeń wojskowych i aktywności morskiej. W tym świetle pytanie o to, czy USA i Chiny będą w stanie wojny, może być źle postawione.

W wielu wymiarach oba państwa znajdują się już w trwałej konkurencji strategicznej o zmiennej intensywności. Jednocześnie handlują, negocjują i współpracują tam, gdzie wspólny interes przeważa nad sporem. Nie jest to ani pokój rozumiany jako harmonijna współpraca, ani wojna jako otwarta przemoc. Jest to konkurencyjna współzależność.

Właśnie w tej ambiwalencji można szukać drogi wyjścia z pułapki Tukidydesa. Jeśli każde zwycięstwo jednej strony jest interpretowane jako porażka drugiej, struktura nieuchronnie prowadzi do eskalacji. Jeżeli jednak istnieją obszary obopólnych korzyści, pojawia się przestrzeń stabilizująca. Handel może być polem konfliktu, a zarazem amortyzatorem; współpraca klimatyczna może trwać obok rywalizacji technologicznej. Negocjacje wojskowe mogą nie niwelować strategicznego antagonizmu, ale są w stanie ograniczyć ryzyko przypadkowego starcia.

Najtrudniejszym zadaniem nie jest więc zbudowanie świata wolnego od konkurencji, lecz nauczenie się rywalizacji pozbawionej apokaliptycznej logiki. Stany Zjednoczone nie zrezygnują dobrowolnie z bezpieczeństwa i globalnych wpływów tylko dlatego, że Chiny rosną w siłę. Chiny z kolei nie zaakceptują trwałej podrzędności jedynie dlatego, że obecny system powstał wcześniej. Jeśli pokój

ma zostać utrzymany, obie strony będą musiały odnaleźć sposób na współistnienie pomiędzy tymi dwiema niemożliwymi skrajnościami.

Historia pokojowego przekazania hegemonii z Wielkiej Brytanii Stanom Zjednoczonym bywa przywoływana jako dowód, że uniknięcie wojny jest możliwe. Andrews słusznie dostrzega jednak istotną różnicę: oba te państwa łączył wspólny język, liczne więzi kulturowe, pokrewieństwo instytucjonalne i zbieżność strategicznych interesów. Relacja amerykańsko-chińska nie posiada podobnego kapitału kulturowego. Różnice ustrojowe i historyczne są głębsze, a obie strony odmiennie interpretują samą legitymację porządku międzynarodowego.

Spójność społeczna jako fundament trwałości potęgi

Nie przesądza to jednak rezultatu. Pokazuje jedynie, że pokojowe dostosowanie będzie wymagało czegoś więcej niż nadziei, iż gospodarka "załatwi resztę". Musi obejmować polityczne zarządzanie wzajemnym strachem. Najważniejszym zasobem mocarstw może okazać się zatem nie kolejny lotniskowiec ani nawet kolejna fabryka półprzewodników, lecz zdolność do zrozumienia sposobu, w jaki własne działania wyglądają z drugiej strony strategicznej mapy. Największym niebezpieczeństwem Pułapki Tukidydesa nie jest bowiem to, że jedno mocarstwo staje się silne. Jest nim sytuacja, w której oba mocarstwa zaczynają uważać, że czas działa przeciwko nim. Wtedy cierpliwość staje się politycznie podejrzana, kompromis wygląda jak słabość, a prewencja może zostać przedstawiona jako rozsądek. Od tego momentu wojna nie potrzebuje już wielkiego planu. Wystarczy incydent.

Relacja między Atenami a Spartą nie wyjaśnia jednak całej dynamiki mocarstw. Państwa nie tylko rosną i konkurują; one starzeją się, instytucjonalizują własny sukces, tracą spójność, konsumują zgromadzony kapitał, a czasami odnajdują zdolność regeneracji. Pytanie o rywalizację USA i Chin prowadzi więc do pytania głębszego niż sama Pułapka Tukidydesa: czy potęga posiada cykl życia? I czy społeczeństwo może rozpoznać własną fazę historyczną, zanim stanie się ona jego przeznaczeniem?

Imperium jako organizm polityczny. Ibn Chaldun, ʿasabijja i Glubb. Pułapka Tukidydesa opisuje napięcie powstające pomiędzy mocarstwem dominującym a pretendentem, lecz pozostawia bez odpowiedzi pytanie: dlaczego jedne potęgi w ogóle rosną, inne zaś tracą zdolność utrzymania wcześniej zdobytej pozycji? Sama rywalizacja zewnętrzna nie wystarcza do wyjaśnienia tego procesu. Imperia nie upadają wyłącznie dlatego, że pojawia się silniejszy przeciwnik. Czasami przeciwnik staje się groźny właśnie dlatego, że wewnątrz dominującej wspólnoty nastąpiła wcześniej utrata energii, spójności, innowacyjności albo zdolności ponoszenia kosztów własnego

istnienia. Andrews przesuwa tutaj wzrok z pola bitwy do wnętrza społeczeństwa i przywołuje dwóch autorów oddzielonych stuleciami, kulturą oraz metodą: Ibn Chalduna i Johna Bagota Glubba.

Łączy ich intuicja, że potęga nie jest stanem, lecz procesem, a sukces może zawierać zalążek własnego osłabienia. W książce Andrewsa cykl ten prowadzi od pionierów i podbojów, przez bogactwo oraz rozwój intelektualny, aż do dekadencji i upadku. Najgłębszy intelektualnie fundament tej konstrukcji daje Ibn Chaldun. Jego Muqaddima z XIV wieku wyprzedza późniejsze socjologiczne pytania o to, dlaczego zbiorowości są zdolne do wspólnego działania i w jaki sposób ta zdolność zmienia się wraz z rozwojem państwa. Kluczowym pojęciem jest ʿasabijja, tłumaczona niekiedy jako solidarność grupowa, więź wspólnotowa, spójność społeczna albo zdolność grupy do zbiorowej mobilizacji. Żadne z tych określeń nie wyczerpuje jej sensu. Chodzi bowiem nie tylko o poczucie przynależności, lecz o praktyczną gotowość podporządkowania części interesu indywidualnego interesowi wspólnoty. W analizach współczesnych myśl Ibn Chalduna jest odczytywana właśnie jako teoria społecznej kohezji stanowiącej rdzeń powstawania i rozwoju dynastii oraz państwa.

ʿAsabijja istnieje wtedy, gdy "my" ma wystarczająco dużą wartość, aby jednostka była gotowa zapłacić za nie realną cenę.

Kapitał solidarności jako fundament realnej potęgi

Tą siłą może być wysiłek, podatki, dyscyplina, rezygnacja z części konsumpcji, służba publiczna, ryzyko militarne lub podporządkowanie osobistej korzyści celowi długoterminowemu. Siła wspólnoty nie jest zatem prostą sumą bogactwa jej członków. Społeczeństwo może być niezwykle zamożne i jednocześnie coraz mniej zdolne do działania zbiorowego. Może dysponować doskonałą technologią, lecz nie umieć uzgodnić celu, któremu ta technologia ma służyć. Może posiadać wielką armię, tracąc jednocześnie polityczną gotowość do ponoszenia kosztów jej utrzymania. Prawdziwym kapitałem potęgi jest więc nie tylko to, co wspólnota posiada, ale przede wszystkim to, co potrafi zrobić razem. Przesuwa to problem imperium z obszaru ekonomii ku antropologii politycznej.

Początkowa wspólnota zdobywcza w modelu Ibn Chalduna jest stosunkowo uboga, twarda i silnie zespolona. Jej członkowie potrzebują siebie nawzajem, gdyż funkcjonują w warunkach zagrożenia i niedostatku. Wspólne ryzyko rodzi wzajemną zależność, a ta z kolei wzmacnia solidarność. Grupa z peryferii rozwiniętej cywilizacji może dysponować niewielkimi zasobami, ale posiada coś, co bogate centrum stopniowo traci: zdolność skoordynowanego działania i zgodę na ponoszenie wysokich kosztów. Kiedy taka wspólnota zdobywa władzę, uruchamia proces paradoksalny. Sukces pozwala

zbudować bezpieczeństwo, administrację, miasta, handel, kulturę i bogactwo. Choć osiągnięcia te są z perspektywy cywilizacyjnej pożądane, jednocześnie zmieniają warunki społeczne, które umożliwiły sukces. Pokolenie zdobywców pamięta cenę powstania państwa; ich dzieci obserwują jeszcze wysiłek rodziców, lecz kolejne pokolenia otrzymują instytucje jako zastaną rzeczywistość. To, co dla założyciela było osiągnięciem okupionym wyrzeczeniem, dla potomka staje się elementem naturalnego krajobrazu. Teoria cyklu przestaje być tu banalną opowieścią o "zepsuciu przez luksus". Jej głębszy sens tkwi w zmianie relacji między doświadczeniem a instytucją: pierwsze pokolenie wie, dlaczego określone reguły zostały stworzone, gdyż pamięta problem, który miały rozwiązać; następne zna już głównie same reguły.

Z czasem forma może przetrwać dłużej niż pamięć o jej funkcji. Instytucja trwa, lecz coraz mniej osób rozumie, dlaczego ponoszenie kosztów jej utrzymania jest konieczne. Sukces generuje zatem problem dziedziczenia doświadczenia. Można odziedziczyć majątek, budynki, prawo, armię czy infrastrukturę, ale znacznie trudniej odziedziczyć pamięć o ryzyku, które doprowadziło do ich powstania. Pokolenie wychowane w bezpieczeństwie może szczerze wierzyć, że jest ono naturalnym stanem świata; ci korzystający z dobrobytu mogą uznać go za właściwość systemu, a nie rezultat ciągłego wysiłku. Przewaga może zatem produkować poznawczą ślepotę na własne źródła. Ibn Chaldun nie opisuje więc zwykłego moralnego upadku bogatych społeczeństw – jego konstrukcja jest bardziej subtelna.

Rozwój państwa wymaga specjalizacji, administracji, opodatkowania i profesjonalizacji wojska. Wraz z tym procesem bezpośrednia solidarność grupy założycielskiej zostaje zastąpiona złożonym systemem instytucjonalnym. Państwo staje się skuteczniejsze organizacyjnie, lecz zarazem mniej zależne od pierwotnej więzi swoich twórców. Problem pojawia się w momencie, gdy instytucje konsumują kapitał solidarności szybciej, niż potrafią wytworzyć jego nową postać. Można rzec, że ʿasabijja jest społecznym odpowiednikiem energii potrzebnej do uruchomienia maszyny państwa. W początkowej fazie energia ta drzemie w ludziach; w fazie dojrzałej zostaje zakumulowana w instytucjach. Biurokracja zastępuje osobistą lojalność, profesjonalna armia wspólnotę wojowników, prawo zwyczaj, a podatki doraźne świadczenia. Jest to postęp cywilizacyjny, jednak niesie ze sobą ryzyko: społeczeństwo może zacząć traktować mechanizmy kooperacji jak automaty działające niezależnie od ludzkich postaw. Wtedy państwo może stawać się nominalnie bogatsze, a jednocześnie uboższe w zdolność mobilizacji. Posiada więcej procedur, lecz mniej zaufania; więcej ekspertów, lecz mniej zgody co do celu.

Więcej praw indywidualnych, ale trudniejsza odpowiedź na pytanie o obowiązki konieczne do utrzymania systemu, który tych praw broni. Nie jest to argument przeciw wolności czy dobrobytowi, lecz pytanie o warunki ich reprodukcji. Społeczeństwo może konsumować

odziedziczony kapitał instytucjonalny podobnie jak przedsiębiorstwo konsumuje kapitał finansowy – przez pewien czas sprawiając wrażenie doskonale prosperującego.

Cykle imperiów i zdolność systemów do samokorekty

Właśnie w tym miejscu Ibn Chaldun spotyka się z Glubbem. John Bagot Glubb, żołnierz i administrator o rozległym doświadczeniu na Bliskim Wschodzie, w eseju The Fate of Empires and Search for Survival próbował odnaleźć powtarzalny wzorzec rozwoju wielkich potęg. Zestawiając dzieje różnych imperiów, sugerował istnienie sekwencji prowadzącej od gwałtownego wybuchu energii, przez podbój, handel, dobrobyt i rozwój intelektualny, aż po dekadencję. W podsumowaniu wskazywał na około 250 lat jako średni okres „narodowej wielkości", wyróżniając epoki pionierów, podbojów, handlu, dostatku, intelektu oraz dekadencji. To właśnie ta liczba jest najbardziej efektownym i zarazem najniebezpieczniejszym elementem konstrukcji Glubba. Efektownym, ponieważ pozwala zamienić skomplikowaną historię w zegar. Niebezpiecznym, ponieważ zegar natychmiast prowokuje pytanie: która godzina wybiła dla naszego imperium? Jeżeli Stany Zjednoczone istnieją od 1776 roku, proste dodawanie zaczyna produkować apokaliptyczną pokusę. Historia wygląda wtedy jak mechanizm, który można obsługiwać kalkulatorem. Sam Glubb dostarcza jednak powodów, by czytać go ostrożniej. Jego 250 lat to średnia wyliczona z wybranych przykładów, a nie prawo przyrody; autor wprost porównuje ją do przeciętnej długości ludzkiego życia, która przecież nie oznacza, że każdy człowiek umiera dokładnie w tym samym wieku.

Co więcej, pod koniec eseju przyznaje on, że zakres porównań był ograniczony i nie uwzględniał między innymi doświadczeń Chin i Indii, co wskazuje na potrzebę znacznie szerszych badań. Traktowanie liczby 250 jako zegara odmierzającego kres mocarstwa byłoby więc bardziej dogmatyczne niż sam Glubb. Z perspektywy współczesnych nauk społecznych znacznie bardziej użyteczna od konkretnej liczby okazuje się analiza mechanizmu.

Nie istnieje uznane prawo historyczne, według którego imperia muszą kończyć swoją dominację po określonej liczbie pokoleń. Państwa różnią się zdolnością do reformowania instytucji, strukturą społeczną, technologią, kulturą polityczną, systemem sukcesji, położeniem geograficznym czy relacjami gospodarczymi. Współczesna analiza porównawczo-historyczna traktuje te różnice jako istotne czynniki, a nie zakłócenia uniwersalnego cyklu. Glubb jest zatem ciekawszy jako twórca heurystyki niż autor prawa dziejowego. Heurystyka ta pozwala jednak zadać pytanie niepokojąco aktualne: czy dobrobyt zmienia sposób, w jaki społeczeństwo postrzega koszt wspólnego działania? W fazie ekspansji ryzyko bywa oczywiste i zewnętrzne. W fazie dobrobytu największym przeciwnikiem może stać się przekonanie, że osiągnięte korzyści nie wymagają już ochrony ani

inwestycji. Wczorajszą zdobycz traktuje się jak dzisiejsze uprawnienie; wysiłek poprzedników zostaje przekształcony w oczekiwanie następców. Glubb widział w późnych fazach wielkich potęg wzrost materializmu, indywidualizacji i konsumpcji oraz osłabienie poczucia obowiązku.

W tym miejscu jego diagnoza wymaga szczególnej ostrożności. Łatwo bowiem pomylić analizę z moralizatorstwem i uznać każdą zmianę obyczajową za symptom dekadencji. Jeszcze łatwiej wykorzystać teorię upadku do potępiania stylu życia kolejnego pokolenia. Historia zna ten zabieg doskonale: niemal każda generacja dostrzegała w młodszej dowód schyłku cywilizacji. Pojęcie dekadencji warto zatem oczyścić z moralnej ornamentyki. Analitycznie rzecz biorąc, imperium nie jest dekadenckie dlatego, że jego mieszkańcy cenią sztukę, komfort albo indywidualną autonomię. Upadek zdolności zbiorowej zaczyna się wtedy, gdy system traci możliwość przekształcania posiadanych zasobów w skuteczne działanie. Bogactwo niewykorzystywane do odtwarzania infrastruktury, nauki i bezpieczeństwa może stać się pasywem. Elity niezdolne do uzgadniania strategicznych celów mogą konsumować prestiż instytucji, którymi zarządzają. Społeczeństwo, w którym wewnętrzny konflikt staje się silniejszy niż poczucie wspólnego interesu, może posiadać ogromne zasoby, a jednocześnie tracić zdolność ich mobilizacji.

W tym ujęciu Andrews rozważa przypadek Stanów Zjednoczonych. Dostrzega symptomy kojarzone z późną fazą imperialnego cyklu – przede wszystkim głęboką polaryzację i wojny kulturowe – lecz jednocześnie odrzuca prostą diagnozę terminalnego upadku. W książce obok oznak osłabienia wymienia amerykańskie atuty: uniwersytety, zdolność innowacyjną, ekosystem technologiczny i dynamiczną gospodarkę. Jest to kluczowe, ponieważ teoria cyklu zostaje tym samym skonfrontowana z możliwością regeneracji. Gdyby historia była biologicznym organizmem, regeneracja imperium byłaby niemożliwa – człowiek nie może ponownie stać się dwudziestolatkiem. Państwo może natomiast przebudować instytucje, przyjąć migrantów, stworzyć nowe sektory gospodarki, zreformować armię, przeprowadzić transformację energetyczną, zmienić system edukacyjny i odtworzyć koalicję społeczną. Metafora życia i śmierci jest więc dla państw sugestywna, ale ułomna. Organizmy biologiczne starzeją się nieuchronnie; organizacje społeczne posiadają przynajmniej częściową zdolność uczenia się. Ważniejsze od wieku Ameryki jest zatem pytanie o jej zdolność do samokorekty.

Demokracja może sprawiać wrażenie systemu mniej sprawnego od autorytaryzmu właśnie dlatego, że jej konflikty są publiczne. Parlament się spiera, media ujawniają kryzysy, sądy blokują działania władzy, a wybory odwracają kierunek polityki. To wszystko może wyglądać jak chaos. Jednocześnie dokładnie te same mechanizmy pozwalają systemowi identyfikować błędy bez obalania całego ustroju. Hałas nie musi być oznaką rozpadu; czasami jest dźwiękiem pracującego mechanizmu korekcyjnego. Autorytaryzm niesie przeciwne ryzyko: może wytwarzać wrażenie niezwykłej

spójności, ponieważ konflikt zostaje stłumiony albo przeniesiony poza przestrzeń publiczną. Nie oznacza to jednak, że konflikt przestał istnieć.

Ryzyko błędnych decyzji w systemach scentralizowanych

Silna centralizacja zwiększa zdolność do szybkiej mobilizacji, lecz jednocześnie może blokować przepływ złych informacji ku szczytowi systemu. Władca, któremu wszyscy potwierdzają jego rację, podejmuje decyzje szybciej niż parlament. Problem polega jednak na tym, że szybkość ta dotyczy zarówno wyborów trafnych, jak i katastrofalnych.

Instytucjonalna solidarność jako fundament trwałości mocarstwa

W tym miejscu teoria Ibn Chalduna nabiera szczególnej wartości, gdyż ʿasabijja nie jest synonimem autorytaryzmu. Solidarność grupowa nie wymaga bowiem bezwzględnej jednolitości; społeczeństwo może intensywnie się spierać, zachowując jednocześnie zgodę co do procedur rozstrzygania sporów, granic przemocy, konstytucyjnych reguł sukcesji oraz podstawowych obowiązków wobec wspólnoty. Prawdziwym testem spójności demokracji nie jest brak konfliktu, lecz zdolność przegrywania bez podważenia samej wspólnoty politycznej.

To prowadzi do istotnego odwrócenia perspektywy. Polaryzacja staje się niebezpieczna nie wtedy, gdy obywatele mocno różnią się poglądami, lecz w momencie, gdy przeciwnik polityczny przestaje być postrzegany jako współobywatel wewnątrz wspólnego systemu, a zaczyna być definiowany jako wróg egzystencjalny, którego zwycięstwo delegitymizuje państwo. W tym punkcie konkurencja polityczna zaczyna konsumować ʿasabijję. Energia niezbędna do działania na zewnątrz zostaje zużyta na walkę o samą definicję tego, kto należy do wspólnoty. Wojny kulturowe nie są geopolitycznie istotne ze względu na kontrowersyjność tematów, lecz dlatego, że mogą niszczyć zdolność społeczeństwa do osiągania minimalnego konsensusu strategicznego. Mocarstwo wymaga bowiem wieloletnich inwestycji w obronność, edukację, badania, infrastrukturę i dyplomację.

Jeżeli każda zmiana większości politycznej wymusza radykalne odwrócenie strategii, horyzont państwa staje się krótszy niż horyzont jego konkurentów. Pojawia się wówczas inna miara schyłku imperium: nie liczba lat, lecz różnica między długością problemów a długością politycznej uwagi. Jeśli wyzwanie demograficzne wymaga trzydziestu lat działań, infrastruktura dwudziestu, a

transformacja energetyczna kilku dekad, podczas gdy strategia polityczna kończy się na najbliższych wyborach, państwo zaczyna przegrywać z czasem. Nie dlatego, że jest stare, lecz przez utratę zdolności myślenia poza najbliższy cykl polityczny. W tym miejscu Glubb nieoczekiwanie spotyka się z Junckerem.

Słowa: „Wszyscy wiemy, co robić, ale nie wiemy, jak zostać ponownie wybranymi, kiedy już to zrobimy", przestają być jedynie dowcipem o demokracji, a stają się diagnozą konfliktu między racjonalnością długoterminową a krótkoterminową strukturą nagród politycznych. Imperium może wiedzieć, czego potrzebuje, i jednocześnie nie potrafić politycznie wdrożyć tej wiedzy. Nie prowadzi to jednak do autorytarnej konkluzji; system, który realizuje strategię przez trzydzieści lat, ale nie potrafi jej zakwestionować mimo błędów, posiada równie poważną wadę. Problem nie polega zatem na tym, by demokracja stała się autokracją, lecz by zbudowała instytucje łączące zmianę władzy z ciągłością strategiczną. Zdolność adaptacji różni się bowiem od zdolności do gwałtownego działania.

Podobnie należy patrzeć na Chiny. Gdybyśmy zastosowali Ibn Chalduna i Glubba wyłącznie do Stanów Zjednoczonych, teoria ta stałaby się narzędziem publicystyki. Każde rosnące mocarstwo jest narażone na mechanizmy, które dotknęły jego poprzedników: sukces gospodarczy zmienia oczekiwania społeczne, urbanizacja przekształca więzi, a bogactwo zwiększa koszty utraty statusu. Rozrastające się instytucje zaczynają bronić własnych interesów, a elity koncentrują się na utrzymaniu pozycji. Rosnąca potęga może w końcu przekroczyć granicę, za którą koszt podtrzymywania wpływów rośnie szybciej niż płynące z nich korzyści.

Pretendent nie pozostaje młody wiecznie; może wejść w fazę instytucjonalnego usztywnienia, zanim zdąży zastąpić hegemona. Pułapka Tukidydesa często zakłada prostą geometrię dwóch linii: jedna opada, druga rośnie, aż się przecinają. Historia rzadko bywa tak elegancka. Oba mocarstwa mogą jednocześnie doświadczać różnych kryzysów: jedno tracić spójność polityczną, drugie dynamikę demograficzną; jedno zachowywać przewagę technologiczną, drugie produkcyjną; jedno posiadać silniejsze sojusze, drugie większą centralną zdolność mobilizacyjną. „Wzrost" i „upadek" nie są pojedynczymi zmiennymi.

Użyteczne połączenie myśli Andrewsa, Ibn Chalduna i Glubba prowadzi nie do pytania o datę upadku Ameryki, lecz do znacznie trudniejszego: jakie właściwości społeczne pozwalają potędze odnawiać samą siebie? Jeśli ʿasabijja oznacza zdolność do wspólnego działania, nowoczesne państwo potrzebuje jej wersji niezależnej od więzi plemiennych. Musi stworzyć solidarność między milionami ludzi, którzy żyją odmiennie i nie zgadzają się w kwestiach fundamentalnych. Zadanie to powierzono instytucjom, lecz one nie mogą go wykonać samodzielnie. Konstytucja działa tylko wtedy, gdy obywatele uznają ją za wiążącą nawet przy niekorzystnym wyniku procedury. Podatek

jest możliwy dzięki akceptacji wspólnych wydatków, a armia funkcjonuje, gdyż istnieje wspólnota uznająca określony terytorium i porządek polityczny za warte obrony.

Nauka rozwija się, ponieważ społeczeństwo finansuje wiedzę, której rezultaty mogą pojawić się po latach. Instytucja jest zatem zamrożoną formą solidarności, która jednak wymaga ciągłego społecznego zasilania. Tu kryje się najważniejsza współczesna lekcja Ibn Chalduna.

Kryzys skuteczności demokracji w obliczu pokusy autorytaryzmu

Potęga nie zaczyna umierać w dniu, w którym przegrywa bitwę. Może słabnąć znacznie wcześniej – wtedy, gdy wspólnota traci zdolność określenia, za co jest gotowa zapłacić. W takim razie przeciwnik zewnętrzny jedynie ujawnia proces, który rozpoczął się wewnątrz. Podobnie jak kryzys finansowy obnaża ukryte zadłużenie, wojna lub strategiczna rywalizacja wyciąga na światło dzienne nagromadzone deficyty państwa: brak zaufania, wadliwą infrastrukturę, niewydolną administrację, niedobory produkcyjne czy niestabilność polityczną.

Nie oznacza to jednak, że każde mocarstwo musi przejść tę samą drogę. Wręcz przeciwnie – możliwość rozpoznania tego mechanizmu odróżnia analitykę od fatalizmu. Glubb pytał, czy znajomość rytmu wzrostu i upadku może pomóc społeczeństwom uniknąć części jego skutków; on sam nie był pewien odpowiedzi. Ta niepewność jest naukowo cenniejsza niż efektowna liczba 250. Jeśli cykl jest nieuchronny, wiedza o nim ma jedynie wartość kontemplacyjną. Jeśli zaś jest tendencją wynikającą z mechanizmów społecznych, ta sama wiedza może stać się instrumentem korekty. Najdojrzalsza synteza tych teorii prowadzi do paradoksu: imperium przegrywa nie dlatego, że odniosło sukces, lecz dlatego, że sukces zmienił warunki, które wcześniej czyniły je zdolnym do zwycięstwa, a ono nie potrafiło przystosować swoich instytucji do tej zmiany.

Bogactwo samo w sobie nie niszczy. Pokój nie osłabia automatycznie, a intelektualizacja nie musi być dekadencją. Niebezpieczna staje się utrata związku między korzystaniem z osiągnięć a gotowością do odtwarzania warunków ich istnienia. Teoria imperiów prowadzi nas wprost do kryzysu współczesnej demokracji. Nie dlatego, że byłaby ona z definicji ustrojem późnego imperium, lecz dlatego, że to właśnie w niej najostrzej zarysowuje się konflikt między solidarnością a pluralizmem, między długim horyzontem strategicznym a krótkim cyklem wyborczym, między skutecznością a legitymizacją. Jeżeli ʿasabijja jest polityczną energią wspólnoty, pytanie brzmi zatem nieuchronnie: czy demokracja potrafi nadal tę energię wytwarzać, czy też własna wolność

zaczyna obracać się przeciwko zdolności do wspólnego działania? Kiedy demokracja męczy się sama sobą. Legitymizacja, skuteczność i pokusa silnego przywództwa.

O ile Ibn Chaldun pozwala pytać o społeczną energię wspólnoty, a Glubb o zdolność potęg do odtwarzania warunków własnego sukcesu, o tyle demokracja liberalna stawia ten problem w formie szczególnie ostrej. Jest bowiem systemem, który nie tylko musi podejmować decyzje, ale powinien uzasadniać, dlaczego ma prawo to robić. Autokrata może potraktować sprzeciw jako przeszkodę; demokratyczny rząd musi uznać go za element mechanizmu politycznego. Autokracja postrzega obywatela jako wykonawcę strategii państwa. Demokracja zaś musi liczyć się z tym, że obywatel może tę strategię odrzucić, władzę odwołać, decyzję zaskarżyć, a jej koszt zakwestionować. Z tej różnicy wyrasta zarówno wielka siła demokracji, jak i jej chroniczna frustracja. Słynna maksyma Churchilla, wedle której demokracja jest najgorszą formą rządu poza wszystkimi pozostałymi, których próbowano, zachowuje swoją intelektualną użyteczność właśnie dlatego, że nie jest hymnologiczną pochwałą ustroju.

Jest pochwałą sceptyczną. Demokracja nie zwycięża w niej dlatego, że jest idealna, lecz dlatego, że alternatywy okazują się jeszcze bardziej niebezpieczne. Andrews używa tej sentencji podobnie: demokratyczny chaos może irytować, parlamentarzysta mówić za długo, sąd opóźniać decyzję, opozycja przeszkadzać, media demaskować błędy, a wyborcy ukarać polityka właśnie za reformę, którą przyszłe pokolenie uznałoby za rozsądną. Cała ta niewydolność ma jednak drugie imię: ograniczenie arbitralnej władzy. Problem zaczyna się wtedy, gdy społeczeństwo przestaje dostrzegać wartość bezpieczników, a widzi jedynie opóźnienie.

W świecie przyspieszonym przez technologię polityka demokratyczna wygląda niemal anachronicznie. Aplikacja odpowiada w sekundę, platforma finansowa realizuje transakcję natychmiast, algorytm analizuje miliony danych szybciej niż zwołana zostaje komisja parlamentarna. Tymczasem państwo przez miesiące konsultuje ustawę, a następnie poddaje ją kontroli sądowej, negocjacjom między izbami i politycznej krytyce. Obywatel przyzwyczajony do natychmiastowości świata cyfrowego może zacząć oceniać państwo kryteriami interfejsu: jeśli odpowiedź nie pojawia się od razu, system wydaje się zepsuty. To porównanie jest jednak zdradliwe.

Państwo nie jest aplikacją, a obywatel nie jest klientem, który zawsze może wybrać innego dostawcę. Decyzja państwowa rozdziela prawa, obowiązki, podatki i władzę przymusu. Jej powolność bywa wadą, ale jest też ceną sprawdzania, czy większość nie narusza praw mniejszości, czy rząd nie przekracza kompetencji i czy skutki decyzji zostały rzetelnie rozpoznane. Procedura jest czasochłonna właśnie dlatego, że w demokracji szybkość nie jest jedyną wartością. Autorytarna obietnica rozpoczyna się od usunięcia tego napięcia. Silny przywódca mówi: wiem, czego potrzeba, i

nie pozwolę, aby procedury, sądy, eksperci czy media przeszkadzali w wykonaniu woli politycznej. W warstwie retorycznej jest to oferta niezwykle atrakcyjna.

Jeżeli demokracja produkuje dyskusję, autorytaryzm oferuje decyzję. Jeżeli demokracja przedstawia złożoność, populistyczny przywódca oferuje prostotę. Jeśli kompromis pozostawia każdą stronę częściowo niezadowoloną, przywództwo plebiscytarne obiecuje całkowite zwycięstwo "prawdziwego ludu". Tylko że szybkość decyzji i jej jakość to dwie zupełnie różne zmienne.

Demokracja jako system korygowania błędów

Samochód pozbawiony hamulców może przez pewien czas pędzić szybciej niż ten wyposażony w systemy bezpieczeństwa. Nie wynika z tego jednak konstrukcyjna przewaga braku hamulców. Instytucjonalne ograniczenia władzy bywają irytujące, gdy decyzja jest trafna, lecz stają się bezcenne, gdy okazuje się katastrofalna. Autorytaryzm posiada więc przewagę szybkości przede wszystkim w świecie, w którym przywódca wie, co robi.

Historia polityczna nie daje podstaw, by uznać takie założenie za bezpieczne. Kontrast między demokracją a autorytaryzmem należy analizować nie tylko przez pryzmat zdolności podejmowania decyzji, ale i umiejętności ich korygowania. Demokracja jest systemem instytucjonalizowanej nieufności. Zakłada ona, że rząd może się mylić, większość może błądzić, ekspert, sędzia czy obywatel mogą ulec pomyłce lub zmienić zdanie. Rozdział władz, pluralizm mediów, wybory, opozycja i niezależne sądy nie istnieją dlatego, że demokracja ufa ludziom bardziej niż autokracja. Istnieją właśnie dlatego, że ufa im mniej: nie chce oddać pełni władzy żadnemu z nich.

Autorytaryzm centralizuje natomiast zarówno zdolność działania, jak i ryzyko błędu. Im bardziej decyzja zależy od wąskiego centrum, tym szybciej może zostać wykonana, lecz tym trudniej systemowi przekazać w górę informację, że centrum się myli. Urzędnik może wiedzieć, że plan jest wadliwy, ale jego kariera zależy od potwierdzenia linii przywódcy. Ekspert może dysponować trafniejszymi danymi, jednak politycznie bezpieczniej będzie dostarczyć tych oczekiwanych. Im silniej system nagradza lojalność, tym większe ryzyko, że właśnie wtedy, gdy przywódca najbardziej potrzebuje prawdy, otrzyma najbardziej elegancko przygotowane kłamstwo.

Wolność słowa nie jest jedynie wartością moralną; to urządzenie informacyjne. Wolne media dostarczają władzy informacji, których ta nie chciałaby usłyszeć. Opozycja tropi błędy rządu niekoniecznie dlatego, że jest mądrzejsza, lecz dlatego, że ma w tym interes. Konkurencja polityczna tworzy zatem mechanizm audytu. Bywa brutalna, niesprawiedliwa i teatralna, ale

zmusza władzę do funkcjonowania w środowisku, w którym monopol na interpretację rzeczywistości jest trudniejszy do utrzymania.

Tę funkcję demokratycznych bezpieczników obrazują najnowsze diagnozy instytucjonalne. Raport V-Dem 2026 wskazuje, że w 2025 roku autokratyzacja była dominującym kierunkiem przemian ustrojowych: 44 państwa znajdowały się w tym procesie, a tylko 18 w procesie demokratyzacji. Autorzy raportu podkreślają, że najczęściej osłabiane są wolność wypowiedzi, praworządność, mechanizmy checks and balances oraz jakość deliberacji.

Nie jest to jedyna metoda pomiaru demokracji, a indeksy V-Dem opierają się częściowo na eksperckich ocenach wskaźników, więc nie należy ich traktować jak laboratoryjnego termometru. Niemniej kierunek obserwacji jest zbieżny z innymi badaniami nad erozją praw politycznych i obywatelskich. Andrews ma podstawy, by mówić o demokratycznym odwrocie, choć sama formuła wymaga precyzji. Kryzys demokracji może oznaczać co najmniej trzy różne zjawiska: przechodzenie państw w stronę autorytaryzmu, osłabianie liberalnych ograniczeń władzy przy formalnym zachowaniu wyborów oraz rosnące niezadowolenie obywateli ze sposobu funkcjonowania systemu, które nie musi oznaczać odrzucenia samych zasad demokratycznych. Pomieszanie tych poziomów prowadzi do fałszywego obrazu, jakoby większość mieszkańców demokracji marzyła o dyktaturze. Dane sondażowe są bardziej niejednoznaczne.

W badaniu Pew z 2025 roku w dwunastu rozwiniętych państwach mediana niezadowolonych ze sposobu funkcjonowania demokracji wynosiła 64 procent, podczas gdy zadowolonych – 35 procent. Jednocześnie badacze zaznaczają, że nie należy utożsamiać tego stanu z odrzuceniem wartości demokratycznych: ludzie nadal popierają demokrację przedstawicielską, lecz są sfrustrowani elitami i praktyką systemu.

Obywatel może kochać demokrację i nienawidzić własnego parlamentu. Może bronić wyborów, uważając jednocześnie partie za niekompetentne. Może oczekiwać rządów prawa i zarazem żądać radykalnej wymiany ludzi u władzy. Paradoks współczesnej demokracji polega na tym, że jej obywatele mogą być demokratyczni normatywnie, a antysystemowi emocjonalnie. Wierzą w prawo do głosu, lecz nie wierzą, że ich głos coś zmienia. Uznają potrzebę reprezentacji, ale nie czują się reprezentowani. Bronią pluralizmu, dopóki nie spotkają poglądu, którego naprawdę nie znoszą. Akceptują kompromis jako zasadę ustrojową, lecz w konkretnym sporze uznają go za zdradę.

Demokracja żyje zatem w przestrzeni między abstrakcyjną akceptacją reguł a codzienną irytacją ich konsekwencjami. Bon mot Junckera trafia w sam środek tej sprzeczności: politycy wiedzą niekiedy, co należałoby zrobić, lecz nie wiedzą, jak później wygrać wybory. Można to odczytać jako cynizm

klasy politycznej, lecz ciekawsza jest struktura instytucjonalna tego zjawiska. Demokracja dyskontuje przyszłość.

Koszt reformy często pojawia się natychmiast, podczas gdy korzyści przychodzą po latach. Podwyżka podatku widoczna jest na najbliższym rachunku; poprawa infrastruktury może nastąpić za dekadę. Reforma emerytalna może odebrać korzyść dzisiejszemu wyborcy w imię stabilności systemu za dwadzieścia lat. Redukcja zadłużenia wymaga wyrzeczenia teraz, podczas gdy kryzys fiskalny, którego dzięki temu uniknięto, nigdy nie będzie widoczny. Polityk demokratyczny znajduje się zatem w szczególnej pułapce czasu.

Polityczna niewdzięczność skutecznej prewencji

Wyborca może ukarać polityka za realny koszt działań, lecz nigdy nie nagrodzi go za katastrofę, która dzięki nim nie nastąpiła. Prewencja jest politycznie niewdzięczna, ponieważ jej sukces usuwa dowód własnej konieczności. Most naprawiony przed zawaleniem nie dostarcza dramatycznych obrazów; epidemia powstrzymana w zarodku nie pokazuje, ilu ludzi udało się uratować.

Demokracja jako praktyka zależna od kultury przegrywania

Armia modernizowana w czasie pokoju wydaje się kosztowna, dopóki ten trwa. Demokracja musi zatem finansować przyszłość za pomocą głosów ludzi żyjących w teraźniejszości. Nie oznacza to jednak, że system demokratyczny jest z natury niezdolny do strategii długoterminowej. Stabilne reguły fiskalne, niezależne instytucje, ponadpartyjne strategie bezpieczeństwa, banki centralne, profesjonalna administracja czy wieloletnie programy infrastrukturalne są właśnie próbami wyjęcia części decyzji z doraźnego rytmu wyborczego, bez odbierania im demokratycznej legitymizacji. Problem pojawia się wtedy, gdy polaryzacja polityczna staje się tak głęboka, że instytucje te zaczynają być traktowane jako narzędzia jednej ze stron. Polaryzacja jest szczególnie niebezpieczna nie wtedy, gdy zaostrza spór, lecz gdy niszczy wspólną procedurę jego rozstrzygania.

Demokracja nie wymaga zgody co do polityki. Wymaga jednak zgody co do tego, że przeciwnik ma prawo istnieć, wygrać wybory, przegrać je, prowadzić opozycję i ponownie ubiegać się o władzę. Jeśli konkurent zostanie zdefiniowany jako wróg egzystencjalny, zwykła alternacja rządów zaczyna przypominać katastrofę narodową. Wówczas pokusa naginania reguł może zostać moralnie usprawiedliwiona wyższą koniecznością: skoro przeciwnik zagraża państwu, wszystko, co

uniemożliwia mu zwycięstwo, można przedstawić jako obronę demokracji. To jedna z najbardziej podstępnych dróg demokratycznej erozji. Demokracji nie zawsze obala generał wchodzący do parlamentu z wojskiem; może być ona rozmontowywana przez polityków z mandatem wyborczym, którzy krok po kroku ograniczają instytucje zdolne ich kontrolować. Wybory pozostają, lecz pole konkurencji przestaje być równe. Sądy formalnie istnieją, ale tracą niezależność. Media działają, jednak presja prawna, właścicielska lub finansowa drastycznie zwiększa koszt krytyki.

Administracja na papierze pozostaje profesjonalna, lecz w praktyce stanowiska coraz silniej zależą od politycznej lojalności. Forma demokratyczna może więc przeżyć utratę części demokratycznej treści. Raport V-Dem z marca 2026 roku zwraca szczególną uwagę na proces demokratycznego regresu zachodzącego także w dotychczas stabilnych systemach. Według tej metodologii w 2025 roku sześć z dziesięciu nowych przypadków autokratyzacji odnotowano w Europie i Ameryce Północnej, a badacze wskazują m.in. na osłabianie praworządności, wolności mediów oraz ograniczeń władzy wykonawczej. Nie jest to dowód na to, że demokracje zachodnie są skazane na autorytaryzm, lecz korekta wygodnego przekonania, że konsolidacja demokratyczna osiąga kiedyś stan nieodwracalny. Demokracja nie jest szczepionką przyjmowaną raz na zawsze. Jest praktyką społeczną. Każde pokolenie dziedziczy instytucje, ale musi ponownie zdecydować, czy akceptuje ograniczenia, które te instytucje nakładają także na „jego” stronę.

Najłatwiej kochać niezależny sąd wtedy, gdy wydaje korzystny wyrok. Test demokratycznej kultury zaczyna się w momencie, gdy sąd blokuje politykę, którą popieramy. Najłatwiej bronić wolności słowa dla opinii własnej; test następuje przy opinii odrażającej. Najłatwiej domagać się uczciwych wyborów, gdy się wygrywa. Demokracja ujawnia swoją jakość dopiero w sposobie przegrywania. W tym kontekście warto krytycznie przyjrzeć się drugiemu ważnemu wątkowi Andrewsa: rzekomemu odchodzeniu młodych ludzi od demokracji na rzecz „silnych liderów”. Ten trend bywa przedstawiany jednoznacznie i łączony z brakiem bezpośredniego doświadczenia katastrof XX wieku oraz frustracją wywołaną powolnością demokratycznego kompromisu. Istnieją dane wspierające część tej obserwacji, ale nie pozwalają one uczynić z niej uniwersalnego prawa pokoleniowego.

W badaniach Pew osoby poniżej trzydziestego roku życia w Stanach Zjednoczonych częściej niż starsze grupy deklarowały otwartość na niedemokratyczne alternatywy; podobny wzorzec pojawił się w Australii i Indiach. Jednocześnie w Grecji, Japonii i Korei Południowej zależność była odwrotna: to starsi respondenci częściej popierali rozwiązania autorytarne. Nie mamy więc podstaw do prostego stwierdzenia, że „młodzi nie chcą demokracji”. Bardziej interesująca hipoteza brzmi: część młodszych obywateli nie posiada już emocjonalnego związku z demokracją jako zdobyczą przeciwko pamiętanej osobiście tyranii, przez co ocenia ją przede wszystkim przez

pryzmat rezultatów, jakie system dostarcza. Człowiek urodzony długo po upadku dyktatury nie porównuje demokracji z policją polityczną, cenzurą czy brakiem wolnych wyborów. Porównuje ją z cenami mieszkań, dostępnością pracy, funkcjonowaniem ochrony zdrowia, kryzysem klimatycznym i poczuciem wpływu na własną przyszłość. To zasadnicza zmiana punktu odniesienia.

Kryzys skuteczności jako fundament powrotu autorytaryzmu i tożsamości

Dla pokolenia pamiętającego autorytaryzm demokracja może być wartością samą w sobie, ponieważ jej alternatywa ma konkretną twarz. Dla tych zaś, którzy wychowali się w systemie demokratycznym, wolne wybory mogą wydawać się tak oczywiste jak bieżąca woda. Wówczas legitymizacja historyczna słabnie, a zyskuje na znaczeniu legitymizacja wynikowa. System ma być dobry nie dlatego, że przewyższa dawny ustrój, lecz dlatego, że rozwiązuje współczesne problemy. Tu pojawia się autorytarny argument skuteczności.

Deng Xiaoping ujmował pragmatyzm reform słynną metaforą kota: nieważne, czy jest czarny czy biały, ważne, by łapał myszy. Andrews traktuje tę maksymę jako skrót chińskiej pragmatyki politycznej, w której rezultat uznaje się za ważniejszy od ideologicznej czystości procedur. Jeśli rząd buduje infrastrukturę, zapewnia bezpieczeństwo i generuje wzrost poziomu życia, obywatel może uznać te efekty za wystarczającą podstawę legitymizacji, nawet przy ograniczonym wyborze politycznym. Nie wolno jednak mylić chińskiego doświadczenia modernizacyjnego z dowodem na to, że autorytaryzm jako taki jest bardziej efektywny – byłby to klasyczny błąd selekcji.

Sukcesy państw autorytarnych łatwo zapamiętać; liczne i nieskuteczne autokracje nie tworzą bowiem tak atrakcyjnej teorii. Autorytaryzm obejmuje zarówno kraje zdolne do wielkich projektów rozwojowych, jak i systemy kleptokratyczne, dyktatury wojskowe czy reżimy niszczące własny kapitał ludzki. Podobnie demokracja mieści w sobie zarówno sprawne państwa dobrobytu, jak i systemy chronicznie niewydolne. Ustrój wpływa na jakość rządzenia, ale jej nie determinuje.

Kluczowym kryterium okazuje się zatem zdolność instytucjonalna. Państwo musi potrafić gromadzić informacje, podejmować decyzje, wdrażać je i korygować błędy. Demokracja dodaje do tego warunek: musi robić to w sposób legitymizowany przez obywateli i ograniczony prawem. Ten proceduralny koszt może spowalniać działanie, lecz jednocześnie chroni przed znacznie większymi stratami, gdy państwo wybierze błędną drogę. Prawdziwy konflikt XXI wieku może więc nie przebiegać między „demokracją” a „autorytaryzmem” jako statycznymi etykietami, lecz pomiędzy systemami zdolnymi i niezdolnymi do uczenia się.

Demokracja, która nie potrafi realizować decyzji, traci legitymizację. Autokracja, która nie koryguje błędów, kumuluje ryzyko. Pierwsza może umrzeć z bezsilności, druga z własnej pewności siebie. W tym miejscu maksymę Churchilla warto uzupełnić o pytanie: jak długo społeczeństwo będzie uważać demokrację za najlepszą z niedoskonałych form rządzenia, jeśli codzienne doświadczenie mówi mu, że państwo nie radzi sobie z podstawowymi problemami? Demokratyczna legitymizacja nie może wiecznie polegać wyłącznie na moralnym kapitale zwycięstwa nad faszyzmem czy komunizmem; musi generować argumenty w teraźniejszości.

Kryzys skuteczności jest zarazem kryzysem ustrojowym. Jeśli demokracja przez lata nie zapewnia mieszkań, bezpieczeństwa, sprawnej administracji czy przewidywalności ekonomicznej, populista nie musi przekonywać obywateli do doktryny autorytarnej. Wystarczy, że uświadomi im, iż „system nie działa". Następnie przedstawi ograniczenia władzy jako źródło problemu: sądy przeszkadzają, parlament tylko mówi, urzędnicy blokują, media kłamią, a konstytucja krępuje ręce. Każdy bezpiecznik zostaje wówczas opisany jako sabotaż skuteczności.

Autorytaryzm rzadko przychodzi z hasłem „zlikwidujmy demokrację". Częściej mówi: „naprawmy ją, usuwając tych, którzy nie pozwalają większości rządzić". To retorycznie potężna figura, ponieważ zawłaszcza demokratyczny język do osłabienia demokratycznych ograniczeń. Przywódca nie występuje jako przeciwnik ludu, lecz jako jego jedyny autentyczny reprezentant. Skoro jest głosem ludu, każda instytucja ograniczająca jego władzę staje się instytucją ograniczającą naród.

Kiedy populizm spotyka się z nacjonalizmem, spór o skuteczność przechodzi w spór o tożsamość. Jeśli wspólnotę podzieli się na „prawdziwy naród" i tych, którzy do niego nie należą, pluralizm traci podstawę ontologiczną. Opozycja przestaje być innym wyborem politycznym, a staje się obcym elementem; media nie są krytyczne, lecz „antynarodowe", a sędzia nie wydaje odmiennego wyroku, lecz sabotuje wolę społeczną. Migrant przestaje być człowiekiem szukającym miejsca w społeczeństwie, a staje się symbolem utraty kontroli. Religia, język i kultura zaczynają organizować konflikt silniej niż program ekonomiczny.

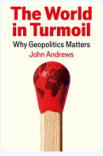
Analiza demokracji nie może kończyć się na instytucjach. Działają one wewnątrz wspólnot, które żyją dzięki opowieściom o tym, kim są. Gdy te narracje zaczynają się wykluczać, techniczne procedury okazują się niewystarczające. Wtedy wraca pytanie, które po zimnej wojnie miało tracić na znaczeniu: czy ludzie organizują politykę wokół interesu materialnego, czy wokół tożsamości, której nie da się przeliczyć na pieniądze? To pytanie otwiera kolejny etap analizy Andrewsa.

Trzydzieści lat po ogłoszeniu „końca historii" coraz mniej przekonujące jest założenie, że rozwój gospodarczy doprowadzi świat do jednej uniwersalnej formy politycznej. Równie ryzykowne jest jednak uznanie, że Huntington definitywnie wygrał i ludzkość została skazana na zderzenie

cywilizacji. Pomiędzy Fukuyamą a Huntingtonem znajduje się właściwa przestrzeń analizy: powrót ideologii, religii i nacjonalizmu jako sił zdolnych skłonić ludzi do działań, których sam rachunek ekonomiczny nie potrafi wyjaśnić. Zapraszamy do drugiego artykułu Fundacji Dobre Państwo.

> Czy w świecie, w którym mocarstwa traktują prawo nie jako granicę, lecz jako narzędzie, jesteśmy w stanie zbudować nowy ład, czy jedynie dekorujemy starożytny mechanizm siły? Być może największym wyzwaniem współczesnych demokracji nie jest walka z zewnętrznym autorytaryzmem, lecz odpowiedź na pytanie: czy potrafimy jeszcze zapłacić cenę za wolność, która w dobie natychmiastowych efektów wydaje się zbyt powolna i niewygodna? Ostatecznie to nie mapa nas determinuje, lecz to, czy wciąż potrafimy zgodzić się na wspólnotę z tymi, których uważamy za obcych.

Inspiracje

[1] 

"The World in Turmoil Why Geopolitics Matters" John Andrews

Ips - Profile Books | ISBN: 9781805224754

John Andrews to wybitny dziennikarz polityczny i autor, znany z bogatej kariery jako korespondent zagraniczny „The Economist", którą to funkcję pełnił przez 24 lata. Jego praca dziennikarska obejmowała Bliski Wschód, Europę, Azję i Stany Zjednoczone, relacjonując ważne zmiany geopolityczne i konflikty międzynarodowe. Przed długoletnią pracą w „The Economist" pisał dla „Guardiana" i „NBC News". Andrews jest autorem i redaktorem kilku książek poświęconych polityce globalnej, stosunkom międzynarodowym i analizie regionalnej, w tym prac poświęconych Azji i naturze konfliktów globalnych. Jest ceniony za wnikliwe, analityczne podejście do złożonych trendów geopolitycznych oraz umiejętność wyjaśniania historycznych kontekstów współczesnych konfliktów międzynarodowych. Mieszka w Londynie.

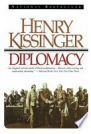
***John Andrews** is a prominent political journalist and author known for his extensive career as a foreign correspondent for The Economist, a role he held for 24 years. His journalistic work has spanned the Middle East, Europe, Asia, and the United States, covering major geopolitical shifts and international conflicts. Before his long tenure at The Economist, he reported for the Guardian and NBC News. Andrews has authored and edited several books focusing on global politics, international relations, and regional analysis, including works on Asia and the nature of global conflict. He is recognized for his clear-sighted, analytical approach to complex geopolitical trends and his ability to explain the historical contexts of modern international struggles. He is based in London.*

The Economist

Literatura uzupełniająca

Książki

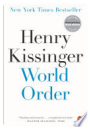
Książki autorów przywoływanych i literatura pokrewna:



[1] **"Diplomacy"**

Henry Kissinger

Simon and Schuster | ISBN: 9780671510992



[2] "World Order"

Henry Kissinger

Penguin | ISBN: 9780698165724



[3] "Leadership: Six Studies in World Strategy"

Henry Kissinger

Penguin Group | ISBN: 9780593489468

[4] "proclamation of the People's Republic of China"

Mao Zedong

[5] "Destined for War"

Graham Allison

[6] "Nuclear Terrorism: The Ultimate Preventable Catastrophe"

Graham Allison

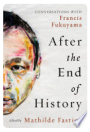
[7] "Muqaddimah"

Ibn Chaldun

ISBN: 9789795411307

[8] "The Story of the Malakand Field Force"

Winston Churchill



[9] "After the end of history : conversations with Francis Fukuyama"

Francis Fukuyama

Georgetown University Press | ISBN: 9781647120870

[10] "Liberalism and its discontents"

Francis Fukuyama

Artykuły naukowe

Prace autorów przywoływanych w tekście:

[1] "A Dialogue between a Philosopher and a Student, of the Common Laws of England"

Thomas Hobbes

1673 | Oxford University Press eBooks | DOI: 10.1093/oseo/instance.00006683

Źródło

[2] **"A World Restored: Metternich, Castlereagh and the Problems of Peace, 1812-22"**
Quincy Wright, Henry Kissinger
1958 | The American Historical Review | DOI: 10.2307/1848964
Źródło

[3] **"World Order: Reflections on the Character of Nations and the Course of History"**
Henry Kissinger
2014 | Virtual Defense Library (Ministerio de Defensa)
Źródło

[4] **"A World Free of Nuclear Weapons"**
George P. Shultz, William J. Perry, Henry Kissinger, Sam Nunn
2019 | DOI: 10.1525/9780520949454-010
Źródło

[5] **"From the Pen of a Political Realist"**
Henry A. Kissinger
1987 | American Foreign Policy Newsletter | DOI: 10.1080/07383169.1987.10392528
Źródło

[6] **"National Security Strategy of the United States of America"**
Donald Trump
2017
Źródło

[7] **"Executive Order 13769: Protecting the Nation From Foreign Terrorist Entry Into the United States"**
Donald Trump
2017 | United States. Office of the Federal Register
Źródło

[8] **"V. Political Life"**
NiccolòHG Machiavelli
2016 | Princeton University Press eBooks | DOI: 10.1515/9781400883318-008
Źródło

[9] "Leviathan or The Matter, Forme and Power of a Common Wealth Ecclesiasticall and Civill"

Thomas Hobbes

2012 | Medical Entomology and Zoology

Źródło

[10] "Leviathan; or, The matter, forme, & power of a common-wealth, ecclesiasticall and civill"

Thomas Hobbes

1651 | DOI: 10.5479/sil.59773.39088001833995

Źródło

[11] "Leviathan; or, The Matter, Form, and Power of a Commonwealth Ecclesiastical and Civil"

Thomas Hobbes

2017

Źródło

[12] "Executive Order 13767: Border Security and Immigration Enforcement Improvements"

Donald Trump

2017 | United States. Office of the Federal Register

Źródło

[13] "Crippled America: How to Make America Great Again"

Donald Trump

2015

Źródło

[14] "Mao's Road to Power Revolutionary Writings 1912 · 1949"

Mao Zedong, Stuart R. Schram, Mao Tung

2018 | DOI: 10.4324/9781315702612

Źródło

[15] "Mao's Road to Power"

Mao Zedong, Nancy J. Hodes

2018 | DOI: 10.4324/9781315702605

Źródło

[16] "The Book of Joy: Lasting Happiness in a Changing World"

Douglas Carlton Abrams, Desmond Tutu

2016

Źródło

[17] "Walk with Us and Listen: Political Reconciliation in Africa"

Charles Villa-Vicencio, Desmond Tutu

2009

Źródło

[18] "South Africa, Africa and the World"

Archbishop Desmond Tutu

2004 | Conflict, Security & Development | DOI: 10.1080/1467880042000259112

Źródło

[19] "Essence of Decision"

Barton J. Bernstein, Graham Allison, Philip Zelikow

1999 | Foreign Policy | DOI: 10.2307/1149596

Źródło

[20] "Rethinking America's Security"

Joseph Kruzel, Graham Allison, Gregory F. Treverton

1992 | Foreign Affairs | DOI: 10.2307/20045255

Źródło

[21] "Lee Kuan Yew: The Grand Master's Insights on China, the United States, and the World"

Graham Allison, Robert D. Blackwill, Ali Wyne

2013 | RePEc: Research Papers in Economics

Źródło

[22] "Struggling With Theory: A Beginning Scholar's Experience With Mazzoni's Arena Models"

Graham Allison, Eugene Bardach, Roger W. Cobb, C. D. Elder, Robert A. Dahl

2006 | DOI: 10.4135/9781412986335.n3

Źródło

[23] "The economic situation of the Trans-Jordan tribes"

John Bagot Glubb

1938 | Journal of The Royal Central Asian Society | DOI: 10.1080/03068373808730867

Źródło

[24] "The great Arab conquests"

John Bagot Glubb

1963

Źródło

[25] "World without time : the Bedouin"

Edward J Nevins, Theon Wright, John Bagot Glubb

1969 | John Day eBooks

Źródło

[26] "The lost centuries: from the Muslim empires to the Renaissance of Europe, 1145-1453"

J. B. Glubb

1967

Źródło

[27] "Preparing for Next Steps on Better Economic Governance in the Euro Area"

Jean-Claude Juncker, Donald Tusk, Jeroen Dijsselbloem, Mario Draghi

2015 | KETlib (University of Piraeus)

Źródło

[28] "The World Crisis"

Winston Churchill

1923 | DOI: 10.5040/9781472582232

Źródło

[29] "'If you have knowledge, let others light their candles with it.'"

Winston Churchill

2012 | Journal of Current Glaucoma Practice | DOI: 10.5005/jocgp-6-3-vii

Źródło

[30] "Impacts of Parenting Style,Physical Self on Gender Role Development in High School Students"

Deng Xiaoping

2008 | Xinli fazhan yu jiaoyu

Źródło

[31] "A New Perspective on Structure of Self-Esteem:The Two Factor Model within Dual Structure"

Deng Xiaoping

2010 | Journal of The Northwest Normal University

Źródło

[32] "The Mediating Influence of Self-Esteem on the Relation between Personality,Social Support and Subjective Well-Being"

Deng Xiaoping

2009 | Yingyong xinlixue

Źródło

[33] "The End of History?"

Francis Fukuyama

2000 | Indiana University Press eBooks | DOI: 10.2307/j.ctt2005tk7.19

Źródło

[34] "Thirty Years after The End of History? EAFIT Lecture"

Francis Fukuyama

2021 | Co-herencia | DOI: 10.17230/co-herencia.18.34.1

Źródło

[35] "Reflections on the End of History, Five Years Later"

Francis Fukuyama

1995 | History and Theory | DOI: 10.2307/2505433

Źródło

[36] "The “End of History” 20 Years Later"

FRANCIS FUKUYAMA

2013 | New Perspectives Quarterly | DOI: 10.1111/npqu.11399

Źródło

[37] "Political Order in Changing Societies"

Samuel P. Huntington

1970 | Verfassung in Recht und Übersee | DOI: 10.5771/0506-7286-1970-2-257

Źródło

[38] "The Clash of Civilizations and the Remaking of the World Order"

Peter Evans, Samuel P. Huntington

1997 | Contemporary Sociology A Journal of Reviews | DOI: 10.2307/2654621

Źródło

[39] "The Clash of Civilizations?"

Samuel P. Huntington

2000 | Culture and Politics | DOI: 10.1007/978-1-349-62397-6_6

Źródło

Treść tworzy Fundacja Dobre Państwo.
Redaguje i publikuje APA ONE, autorski system redakcyjny Fundacji oparty na AI.
APA ONE Publishing System
Fundacja Dobre Państwo © 2026
Article ID: 0c4f3aff-6fc4-439d-967e-cb864fd9496e